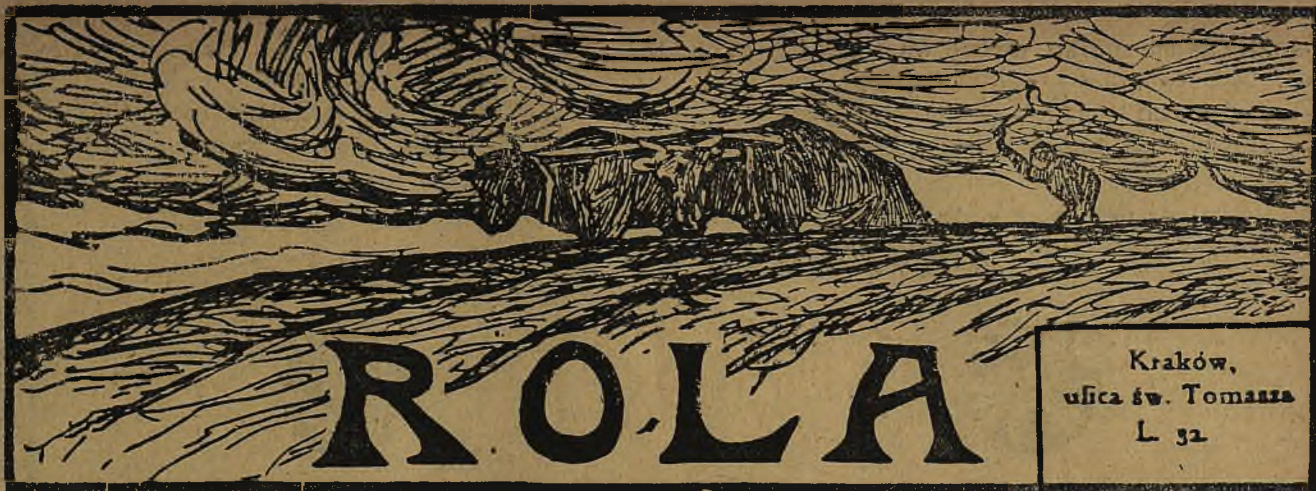
Numer 24. Nal. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 15 Czerwca 1930



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Na wsi.

— Słuchajcie matko, wezmę waszą Kaśkę za żonę, ale pod jednym warunkiem.

— Pod jakim?

— Musicie mi kupić harmonję.

— A to na co?

— Bo ksiądz proboszcz mówił, że w małżeństwie harmonja jest koniecznie potrzebna!



I przecinek coś znaczy.

Jaki brak sensu może powstać, gdy ktoś w zdaniu nakreśli przecinek w niewłaściwem miejscu, wykazuje zdanie: Do izby wszedł Zielonka na głowie, miał czapkę na nogach, kamasze naokoło bioder, płaszcz długi w zębach, papieros w oczach, wesoły wyraz twarzy!



— Już teraz, ojcze, nie siedzę w ostatniej ławce!

— Maszci w nagrodę za to cukierki. Ale jak się to stało.

— A bo ostatnią ławkę świeżo pomalowali, więc nikt w niej nie siedzi.

Dowcipny Wojtek.

Kaśka: Uważaj Wojtek, jak przyjadzie naucyciel, to mu wrota otwozys.

Wojtek: A co to takiego naucyciel?

Kaśka: Juści taki, co wszyćko umi!

Wojtek: Ee, to bedzie se umioł i wrota otwozyć.



Zmądrzała.

— Bójcie się Boga! sześć złotych żądacie za tę kaczkę? przecież przed miesiącem płaciłam wam po cztery złote.

— Ano, mówią państwo, że chłop zawżdy głupi, więc ja teraz krzynkę zmądrzałam.



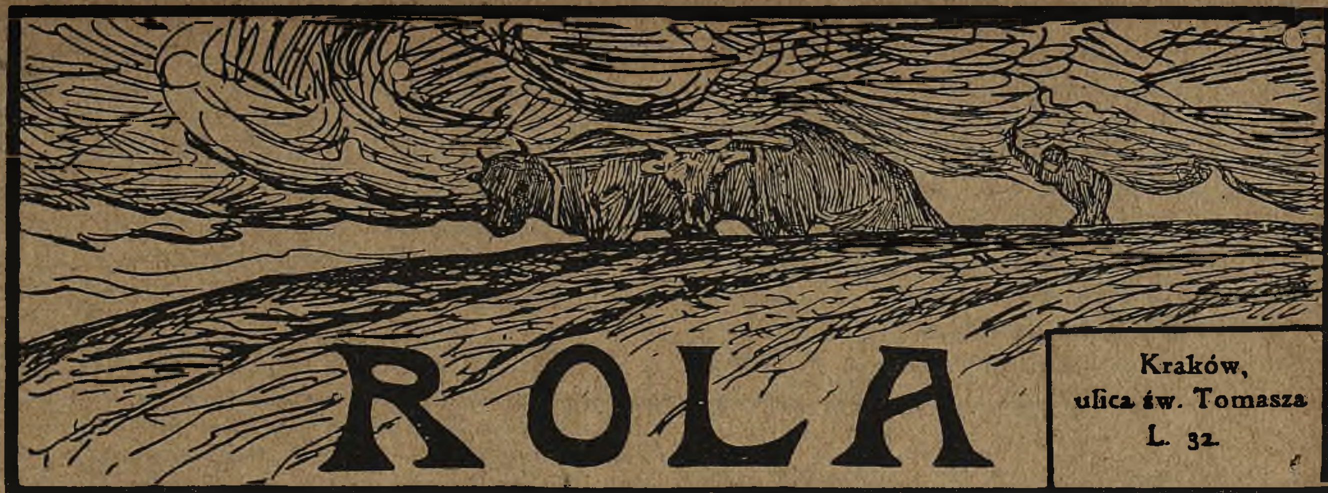
Dziedziczny pech.

— Nieszczęśliwe dziecko! jak mogłaś mu zawierzyć?

— Ach moja mamo, obiecywał, że się ożeni...

— To i cóż z tego! Twój ojciec obiecywał mi także to samo!

Numer 24. Rok XIII. Kraków, dnia 15 czerwca 1930.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek 500.868.

Rokitna.

Rycerzom z pod Rokitny w piętnastą rocznicę bohaterskiego boju poświęca autor.

Lecz ani jeden nie zawrócił konia!
Jak huragan, jak wicher pognali przez błonia,
By z mieczem w ręku rwać Polski kajdany,
Zwyciężyć lub zginąć, my polscy ułani...

Szły wojska austrjacko-niemieckie wzdłuż stoku Karpat, ścigając cofającego się nieprzyjaciela. Szła druga, okryta laurami, zwycięska Żelazna Brygada. Utknęli dopiero pod wsią Rokitną. Nieprzyjaciel zajął dogodne pozycje na wzgórku. Poczwórne okopy rosyjskie kryły w sobie zgórą tysiąc żołnierzy, rozporządzających wszelkim materjałem wojennym. Wzgórze to zamieniło się w fortecę nie do przebycia. Wszelkie ataki wojsk państw centralnych dziesiątkowane łamały się, cofały. Wtedy to generał austrjacki dowodzący wojskiem, postanowił sforsować to wzgórze kawalerją. Drugi szwadron polskich ułanów miał rozkaz ten wykonać.

Dzień 13 czerwca 1915 r. piękny i pogodny. Ułani rotmistrza Wąsowicza odpoczywali w cieniu pięknego owocowego sadu, gwarząc i baraszkując wesoło. Nagle wpadł na spienionym koniu honwed wysłany przez sztab II Brygady z rozkazem, by rotm. Wąsowicz meldował się zaraz u Brygadjera. Ułani nie zwracali na to zbytniej uwagi. Żaden z nich nie przypuszczał nawet, że ten nieznany honwed przywiózł rozkaz, który dla tylu z nich stał się wyrokiem ich żołnierskiej śmierci. Za chwilę wrócił rotm. Wąsowicz ponury i surowy jak zwykle. Nie upłynęło ani kilka minut, jak szwadron w bojowym ordynku szarżował na moskiewskie okopy. Konie rwały jak wicher, rozwiały się szare ulanki, zabłyszczały w złocistych blaskach czerwcowego słońca szable podniesione do szarży, a z piersi szczupłej garstki polskich Leonidasów wydarł się gromki okrzyk:

— Hurra! naprzód na Moskala!

W polskich straceńców jazgot kul bije zewsząd. Ale nie zważali na to. Jak grom, jak huragan przejechali okop pierwszy, drugi, trzeci, czwarty i ostatni. Szarża była skończona. W ciągu kilkunastu minut rozegrał się ten najwspanialszy i najwznioślejszy akt polskiego bohaterstwa. 63 ich było. Wiedzieli, że idą na pewną śmierć, lecz poszli, by jeszcze raz w taki brawurowy sposób przed światem udowodnić, że Polak wykona każdy rozkaz choćby życiem przypłacić musiał. Opromienili niezrównanym blaskiem honor polskiego oręża. Niezapomnianej Samosierry, wizja wskrzeszona. Dokonali czynu bezprzykładnego w dziejach świata.

Na wieść o tej bohaterskiej szarży cały świat w niemym podziwie pochylił czoło przed bohaterstwem Polaków. Jazda polska święciła niebywały tryumf. Na kwiecistym stepie Bukowiny leży pokłosie krwawej szarży. Poległ rotmistrz Wąsowicz. Kula przeszyła na wylot jego bohaterską pierś. Zginął porucznik Włodek, ugodzony celnym strzałem w skroń. Zginął porucznik Topór-Kisielnicki, przebity siedmioma bagnetami. Legł zastęp 12 ułanów. Nieprzyjaciel opuścił w ciemnościach nocy pozycje pod Rokitną, cofając się pospiesznie w dalszym ciągu.

Dnia 15 czerwca 1915 r. ponieśli legjoniści 15 z białych desek zbitych trumien do grobu. Na cmentarzu w Rarańczy przybyło piętnaście świeżych mogił. Na trumny polskich bohaterów posypały się grudki obcej ziemi.

Tam w grobie zdala od swoich śnili o Polsce Wielkiej i Niepodległej.

Na wiosnę 1923 r. ulicami Krakowa posuwał się wspaniały królewski pogrzeb. Na lawetach armat

spoczywało zasypanych kwieciem i wieńcami 15 trumien. Na ulicach mrowisko ludu. To Rycerze z pod Rokitny w ogromnej żałobnej paradzie wracali do Polski, do tej Ojczyzny, za którą tak chlubnie i zaszczytnie polegli. Cała Polska, jak długa i szeroka, złożyła hołd głęboki Prochom Nieśmiertelnych Bohaterów. Dzień Ich pogrzebu przemienił się w wielką i wspaniałą manifestację narodową. Na Ich grobie wznosi się skromny pomnik, który będzie przypominał wszystkim pokoleniom ten dzień chwały i smutku, tę niezapomnianą chwilę w dziejach świata. Ci Rycerze bez skazy będą dla nas głębokim przykładem, jak my mamy na przyszłość postępować. Kiedy Polska znajdzie się w niebezpieczeństwie, pójdziemy wszyscy z mieczem w ręku w bój, ze swych piersi utworzymy mur twardy, jak granit, o który rozbiją się wszelkie zakusy wroga, a Polska żyć będzie po wieczne czasy Wielka, Potężna i Wspaniała!

Kawczak Franciszek.

MAURYCY JOKAY.

W tajemniczej ziemi złota

Powieść tłómaczona z węgierskiego przez K. Górskiego.

Tego dnia żubr był jak najgorzej usposobiony. Powietrze było duszne i ciężkie, słońce niemiłosiernie prażyło, a w powietrzu unosiły się miljony much, małych, ale zato ogromnie nieprzyjemnych jego wrogów. Dziwna ponura cisza unosiła się nad całą przyrodą — nadchodziła burza.

Żubr wyczuwał zmianę pogody i prześladowany przez dokuczliwe muchy uciekł do nieprzebytej gęstwiny i nie można było go stąd wypędzić. Myśliwi wprawdzie znaleźli jego ślady, odciski kopyt, ale do jego schroniska nawet psy specjalnie wytresowane nie mogły się dostać, aby go stamtąd napędzić.

Oprócz psów prowadził też naczelnik i geparda, specjalny rodzaj kota. Tu na Kaukazie ćwiczy się go i tresuje w celach łowieckich. Jeden z myśliwców miał go przy sobie i otrzymał rozkaz, aby go nakrywał pokryciem tak długo, aż nadejdzie stosowna chwila do wypuszczenia.

Żubr dobrze wyczuł zmianę pogody.

W południe całe niebo pokryły gęste chmury i wkrótce nastała gwałtowna burza, spadł tak gęsty deszcz, że na dziesięć kroków nie można było niczego zobaczyć.

Wreszcie ciemność zupełna pokryła ziemię, a gromy rozwalały się po całym kraju, wywołując stokrotne echa.

Łowcy otulili się w płaszcze i nikt z nich nie myślał o żubrach. Pocichu życzyli sobie wszyscy wrócić do gościnnych komnat w zamku naczelnika.

Już zdawało się, że polowania nie będzie, gdy nagle uderzył piorun w bezpośredniem sąsiedztwie drużyny myśliwskiej, w potężny dąb i przepołowił go od wierzchołka do korzeni, zapalając go jak jaką wielką pochodnię.

Ale ta naturalna pochodnia rozproszyła ciemności. W świetle palącego się drzewa potoki deszczu podobne były do ognistych smug, spadających z ognistego nieba. A tu nagle jakby na spotęgowanie grozy obrazu, wypadł z legowiska potężny żubr, przestraszył się bowiem rozdzierającego grzmotu i olbrzymiego płomienia palącego się drzewa.

Rycząc przeraźliwie, wypadł z gęstwiny i odrzucał głową wszystko, co stanęło mu w drodze. Pędził wprost na szerokie karczowisko, gdzie stał naczelnik ze swoją drużyną. Gdy przy piekielnem świetle ujrzał gromadę ludzi, zatrzymał się, stanął chwilkę, a jego przednie nogi zaryły się w rozmiękłej ziemi. Z jego oczu sypały się błyskawice, a wściekłość swoją zdradzał, gwałtownie uderzając ogonem po bokach.

Z przodu i z tyłu rzuciła się na niego zgraja psów.

Ale też zaraz żubr odpędził od siebie nieproszonych gości. Dwa czy trzy zadeptał zupełnie, ze cztery nabił na rogi i wyrzucił w powietrze jak piórka, reszta uciekła od niego, rozbiegając się na wszystkie strony.

Potężne to zwierzę, ważące przynajmniej szesnaście centnarów, biegło tak szybko i zwinnie jak koźlę.

Teraz dopiero myśliwi wydobyli strzelby z pudełek.

Pierwszy strzał należał się naczelnikowi.

Czengli przyłożył długą strzelbę do twarzy i po długiem i uważnem celowaniu pociągnął za cyngiel. Strzelba nie wypaliła.

Trudno było strzelać przy takim deszczu ze strzelby, którą trzeba było zapalać przy pomocy krzemienia.

— Teraz wy strzelajcie — rzekł Czengli do swych towarzyszy.

Ale ani jedna strzelba nie wypaliła. Deszcz zupełnie zamaczał proch na panewce, a nasypać na panewki nowego nie było można w takim deszczu.

— To przeklęte zwierzę jeszcze się z nas wyśmieje — krzyknął rozzłoszczony Czengli i rozkazał: Puścić geparda!

Myśliwy zdjął okrycie, zakrywające geparda i puścił go na ziemię.

Skoro tylko ujrzał żubra, przylgnął umiejętnie do ziemi i czołgając się na brzuchu, przybliżał się ostrożnie do niego. Ale i żubr zauważył nowego wroga i cofnął się o kilka kroków.

Nagle w błyskawicznym skoku gepard dopadł żubra i usadowił mu się wprost na głowie. Wbił zaraz w jego ciało pazury i zęby. Wszędzie, gdzie zatopił zęby, pojawiły się pasy czerwonej, ciepłej krwi.

Żubr daremnie starał się zrzucić nieprzyjemnego jeźdźca, daremnie skakał, wykonywał różne zwroty. Wreszcie postanowił się ratować przez iście zuchwały czyn.

Straszliwie podjudzony, pędził wprost ku potężnemu drzewu, a uderzając weń, zgniótł geparda, który dotąd hulał sobie na jego grzbiecie. Z rozbitą głową i zmiażdżony spadł gepard na ziemię.

Teraz żubr podniósł głowę, potężnie zaryczał, i bił nogami w ziemię, jakgdyby całą drużynę myśliwską wzywał na pojedynek, jakgdyby chciał powiedzieć: „Kto z was odważy się teraz stanąć ze mną do walki?“

Może ze dwadzieścia kopij uderzyło w niego i wbiło się weń, jako ciernie, on jednak na to nie zwracał uwagi.

Strzelb z powodu zamoknięcia nie można było użyć, a innej broni oprócz kopij myśliwi nie mieli.

Podrażniony kopijami do ostateczności, zniżył rogi aż do ziemi i rzucił się na naczelnika.

— Teraz strzelaj — powiedział w tej chwili Rjumin Ismenie, która miała strzelbę odziedziczoną po umarłym Osjetyńcu.

Dziewczęciu nie musiano rozkazu dwa razy powtarzać, przyłożyła strzelbę do twarzy i wycelowała w rozjuszonego żubra. Jej strzelba zupełnie inaczej była zbudowana, niż strzelby czerkieskie, dlatego deszcz nie zamoczył naboju i można z niej było strzelać.

Strzelba wypaliła i kula ugrzęzła w potężnym karku żubra, zadając mu śmiertelną ranę. Ale żubr jeszcze nie padł, tylko zmienił kierunek swego ataku, a zamiast na naczelnika, pędził w miejsce, skąd padł strzał. Rjumin, widząc Ismenę w niebezpieczeństwie, przyskoczył natychmiast do niej i również gotował się do strzału.

Dzielny koń czekał spokojnie i bez strachu na żubra, pędzącego wprost na niego. Wierny konik był przekonany, że jego pan potrafi się obronić przed nieprzyjemnym gościem. Kiedy żubr znalazł się w odległości ośmiu kroków od konia, Rjumin wycelował wprost w czoło, a nabój owinięty w stalowy płaszcz, przeszedł przez głowę potężnego zwierzęcia.

Teraz dopiero koń skoczył w bok, dając rozpędzonemu żubrowi wolne miejsce, bo ten chociaż dwukrotnie trafiony, jeszcze rzucił się wprzód, aż wreszcie uderzył głową w pień drzewa i padł na ziemię.

Ziemia aż zadrżała pod ciężarem jego cielska.

Drużyna łowiecka krzyknęła z radości, gdy ujrzała, co Rjumin zrobił, wszyscy też podeszli do niego i składali szczęśliwemu strzelcowi gorące życzenia. Rjumin nie zważał na słowa podziwu, ale zeskoczył z konia, dobył miecza i podszedł do powalonego olbrzyma. Obciął mu długą czarną błyszczącą brodę na spodniej części łba się znajdującą.

Cała drużyna wstrzymała oddech; bacznie śledziła ruchy. Wszyscy wiedzieli, że szczęśliwy strzelec, ucina brodę ubitego zwierzęcia dlatego, aby ją jednemu z drużyny złożyć w podarunku, ale komu ją podaruje?

Naturalnie należałoby się, by znak zwycięstwa złożył u nóg tej, która również do niego się przyczyniła, należał się Ismenie, — ona bowiem zadała żubrowi pierwszą śmiertelną ranę.

Ale Rjumin nie kierował się sprawiedliwością, lecz postąpił jako dyplomata.

Ze zdobyczą przystąpił do siostry naczelnika, do cudnej czerkieskiej księżniczki i podał jej brodę żubra, ułożoną przedtem w piękną kitę.

Oczy księżniczki aż zaiskrzyły się od radości. Przyjęła podarunek i podziękowała mu drżącym głosem. Zaraz zdjęła czapeczkę z ciemno-czerwonego jedwabiu, bogato przybraną w złoto i przypięła do niej ciemny podarunek. Naturalnie niemało była też dumną z takiego wyróżnienia.

W tym wypadku usłuchał Rjumin rady Weljaminowa. — „Celujesz w zdobywaniu serc niewieścich, staraj się więc często zastosowywać tę sztukę“ — rzekł mu generał, kiedy wyprawiał go w podróż.

A Rjumin zdobył już dwa serca niewieście: zdobył serce Ismeny, a teraz i czerkieskiej księżniczki.

IX.

— Teraz już wierzę, że jesteś tym, za kogo się podawałeś, że jesteś śpiewakiem łazystańskim — powiedział naczelnik do Rjumina, kiedy po skończonem polowaniu wrócili do domu. — Ale powiedz mi, dlaczego twoja strzelba nie zamokła i dlaczego możesz jej użyć przy każdej pogodzie. Dałbym połowę mojego majątku za to, gdybym mógł uzbroić wszystkich moich wojowników w takie strzelby.

Rjumin podał swoją strzelbę naczelnikowi i zaczął mu szczegółowo objaśniać jej budowę.

Czengli uważnie słuchał słów Rjumina i dokładnie też oglądał strzelbę.

— To jest doskonała broń — rzekł potem. — Takiej strzelby dotąd jeszcze nie widziałem, chociaż już o niej słyszałem od tych, którzy wrócili się z dalekich wojennych wypraw przeciw Rosjanom. Gdyby moje wojsko miało taką broń, mógłbym i w największym deszczu uderzać na wroga i pokonać go właśnie wtedy, kiedy się tego najmniej spodziewał. Powiedz mi, śpiewaku, skąd masz taką broń?

— Przyniosłem ją z mojej ojczyzny, z Łazystanu, gdzie od obcych nauczyliśmy się takie strzelby wyrabiać — odrzekł Rjumin.

— A czy możnaby strzelby moich wojowników przerobić na takie same. Czy znaleźliby się rzemieślnicy, którzyby potrafili je tak przerobić?

— Owszem, znaleźliby się tacy: Sam mogę ci powiedzieć, gdzie mógłbyś ich znaleźć — rzekł Rjumin. — Ale budowa strzelby nie odgrywa znów takiej roli. Główną rolę gra tu proch, którym napełnia się naboje.

— Może też wiesz, jak się taki proch wyrabia? — pytał się dalej naczelnik.

— Doskonale wiem, jak się go wyrabia — odpowiedział Rjumin, a patrząc się ostro na naczelnika, dodał: — Wyrabia się go z proszku złota.

Widzimy, że Rjumin kłamał. I teraz miał swój cel na oku.

Naczelnika taki obrót sprawy zaskoczył, jeszcze nigdy nie słyszał, żeby było można wyrabiać tak doskonały proch — że złota.

— Dam ci tyle złota, ile go tylko będziesz potrzebował — powiedział po chwili.

— Ale do tego nie nadaje się złoto, już raz przerabiane. Do sporządzenia złotego proszku, potrzebnego do fabrykacji prochu strzelniczego, trzeba złota zupełnie czystego, dopiero co wydobytego z rudy!

Twarz naczelnika spoważniała, co też Rjumin zaraz zauważył i dlatego się zapytał:

— Masz w twem państwie kopalnie złota?

— Nie mam — brzmiała odpowiedź. — Moi najstarsi wojownicy wprawdzie powiadają, że słyszeli od swoich rodziców, jak to przed dawnemi czasy wydobywano w tym kraju złoto, ale nikt już nie wie, gdzie się te kopalnie znajdowały. Za to starego złota, już przerobionego mam poddostatkiem.

— Tego nie mogę potrzebować — rzekł Rjumin. — A czy u twoich sąsiadów niema kopalń, gdzie wydobywa się złoto?

— Wiem o ziemi, gdzie znajduje się dużo złota — odrzekł naczelnik.

— Gdzie leży ta ziemia? Czy daleko stąd?

Rjumin prawie że nie oddychał, gdy wymawiał to pytanie. Z drugiej strony musiał udawać, jakoby cała sprawa nic go nie obchodziła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W kopalni.

(Dokończenie).

Dzisiaj tylko robota ich straciła ów harmonijny urok. Zniecierpliwiony karowacz daremnie wyczekiwał zbawczych strzałów. Godziny wlokły się powoli, leniwie. Co pewien czas odrzucał daleko od siebie łopatę i słał pytające spojrzenie w ciemnię, to znów na górnika, który przywarty do czarnej ściany walił w nią obuchem z całej siły. Żylate, czarne jego ręce uderzały ciężko i trafnie raz po raz, a ponure oczy błyszczały dziwną zaciętością. Węgiel zaś pryskał, trzeszczał i walił się u stóp pracującego.

W umyśle chłopca tłukła się tylko jedna myśl: do domu. Gniewało go wszystko: ten spokój górnika, ta cisza czająca się w pobliskich ciemnościach i ta obojętność otoczenia. Chwytał więc łopatę i z gniewną zaciekłością rzucał się do pracy. Myślą zaś ulatywał daleko. Widział w cieniu świeżo rozkwitłych grusz, gwarnych świergotem ptaków, rozradowaną siostrzyczkę, obok schludny, świeżo obielony domek. W dużym, jasnym pokoju, umajonym tatarakiem, rozchodzi się upojna woń, a tuż za oknem wdzięczą się pęki rozkwitłego bzu. Na środku duży stół o białym obrusie wabi przysmakami, dalej zaś krzątająca się jak zawsze uśmiechnięta matka w przygotowaniach świątecznych. Co chwilę spogląda przez okno na drogę. Oczekuje go, bo trzeba przecież jeszcze dom umaić, kwiatów w wazony narwać, stół przystroić, a to przecież do niego należy. Pójdzie razem z siostrzyczką do ogrodu, nałamie drzewiny, przystroją nią drzwi wchodowe, upstrzą barwnemi wstążkami, całe pęki bzów zniosą do pokoju, ach! co to będzie za radość. A jutro, rano, wszyscy odświętnie ubrani pójdą do kościoła weseli, rozradowani...

Teraz odłożył łopatę i spojrzał na kamienną twarz górnika. Zdawało mu się, że ten wolniej teraz bije dziurę, że jakaś ręka niedobra wstrzymuje czas w biegu, że wszystko tu dziś sposępniało, zobojętniało...

— Czegóż się gapisz? — mruknął górnik.

— E nie, ino nie mam co robić, przykrzy mi się — odparł szybko.

— Nudzi ci się — mówił chrapliwie ironicznym głosem — przykrzy? a cóż ci się tak przykrzy?

— Jakto? nie wiecie? Przecież to od jutra święta — odrzekł, a w oczach jego błysnęła dziecięca, naiwna radość.

Nie odpowiedział nic. Zdziwienie i szczerość chłopca uderzyła go nagle, jakby obuchem po głowie, przypomnieniem.

— Święta, święta... — mamrotał jakby zbudzony ze snu.

Przecież i on cieszył się niegdyś świętami. Przed oczy stanęły mu jak żywe, zdrowe, czerwone, wieszające mu się u kolan dzieciaki. Tak, tak, przecież to on z niemi igrał, swawolił, razem z niemi się cieszył, śpiewał i płatał figle, a z najstarszym, Jędrusiem, łamali na te święta drzewinę, rzucali z góry na roześmiane maleństwa, przecież i on chodził do kościoła, był szczęśliwym...

Oczy jego zaszły mgłą, ręce opadły nagle pod ogromem wspomnienia. Wszystko co było i przeszło, ożyło nagle w nim, prężyło się w piersi, radością i rozrzewnieniem, ściskało gardło niewypowiedzianem uczuciem, a na rzęsach zawisły skrzące się tysiącem kolorów dwie duże łzy.

— I ty się cieszysz? — wyszeptał dziwnie.

— Ojej, przecież tylko o tem myślę — odrzekł z zapałem.

Górnik wparł się w niego oczami. Wyczuwał w nim teraz jakąś słodycz, niewinność. Przez chwilę zdawało mu się, że to jego syn, jego Jędruś, że to on siedzi przy nim. Ten sam głos, te same rysy, ach i on dopiero teraz to ujrzał, teraz, od tak dawna... Chciał się porwać, uścisnąć go, bluznąć mu w twarz jakiemś wyznaniem, lecz nie, opamiętał się, otrząsł, spotkawszy zdziwione spojrzenie chłopca.

— Zaraz, zaraz pójdziemy, tylko wykopię jeszcze tego pniaka — bełkotał zmieszany, ukazując zrąb węglowy.

— E, to ja wam pomogę — krzyknął chłopiec, ujęty nagłą dobrocią starca.

I nie czekając odpowiedzi porwał lampę i obuch dopadając wskazanego miejsca. Za chwilę rozlegały się już donośne uderzenia i odgłos padającego węgla.

— A pilnuj się dobrze, bo tam piętro słabe — upominał go górnik, patrząc nań rozrzewnionym wzrokiem.

— Nic mi nie będzie, cóżem to nie praktyk! — odkrzyknął zuchowato, uporając się z węglem.

Starzec powiesił niżej swoją dopalającą się lampę i począł bić gorączkowo dziurę. Jakieś nieokreślone uczucie rozsadzało mu piersi. Znękane i wygasłe już niemal oczy promieniały teraz szczęściem, jakaś siła nieznana sączyła się w jego członki, śpiewna radością i weselem, upojna szczęściem i zapomnieniem. Przecież nie został sam na starość, zachowały się jeszcze błogie wspomnienia tych szczęśliwych chwil...

Nagle grzmot jakiś i przejmujący krzyk rozdarł powietrze.

— Jezu!!!

Błyskawica przeszyła ciało starca, spojrzał, zerwał się i dopadł ciała chłopca.

— Janek!, — krzyknął rozdzierającym głosem.

Z pod wielkich płaskawych kamieni odpowiedział mu cichy jęk.

Nie bacząc na nic, po ciemku, ze struchlałem sercem począł odwalać z niego ciężkie kamienie. Ręce mu drżały jak w febrze, na usta wystąpiła piana, jakiś przejmujący krzyk rozdzierał mu serce.

— Janku, Janku... — mamrotał nieprzytomnie.

Pośród kamieni znalazł lampę, porwał ją, chciał zapalić, gdy wtem... złowrogi trzask rozległ się nad głową, jakiś grzmot.

— Boże...

Olbrzymie wiszące kamienie zszarpanego piętra staczały się głucho, przygniatając starca. Przez chwilę donośny jęk rozlegał się wokoło, błąkał po pustych ścianach, później ustawał, coraz wolniej i ciszej...

W blasku dopalającej się lampy szarzał w dali stos spiętrzonych kamieni na wystających kończynach ludzkich, a wyżej, w piętrze wystawały groźnie ledwo zczepione z sobą złowrogie, ostre kamienie. Wokoło czarne ściany patrzały ponuro, groźnie. Cisza ogromna zalegała wszędzie, jakaś niepojęta tajemnica zdawała się rozlewać w mrokach, wsiąkać w każdą szczelinę.

Nagle podziemiem wstrząsnął przytłumiony huk strzałów, powtarzany długo tysiącznem echem. Chwiejny płomyk u lampy zgasł — i nastała czarna, nieprzebrana, przejmująca cisza ciemność... Czasem tylko jęk jakiś, tak cichy jak złudny brzęk komara niósł się w mrokach, głosząc straszną, bolesną wieść...

Tadeusz Tomczyk.

JAN KOCHANOWSKI I URSZULKA.



Są takie cudowne dzieci na świecie, które od najwcześniejszej młodości okazują wybitny talent w pewnym kierunku. Są młodociani muzycy, którzy, licząc zaledwie kilka lat, potrafią na skrzypkach wygrywać takie rzewne melodje, jak tego i niejeden starszy nie potrafi: są takie dzieci, które zaledwie ołówek w ręce utrzymać potrafią, kreślą nim obrazki, jakichby im i dorosły nakreślić nie potrafił; są tancerki, które drobnemi łapiętami wyczyniają takie łamańce, iż w podziw tem starszych wprowadzają. Do takich cudownych dzieci należała także Urszulka Kochanowska, córka księcia poetów polskich, Jana Kochanowskiego. Już jako maleńka dziewczynka Urszulka mówiła bez żadnego przygotowania wierszami, przez siebie zmyślonemi. A wierszyki te były nie byle jakie, ale tak piękne w formie, posiadające tak głęboką myśl i tyle prawdziwego piękna, żeby się ich nie powstydził i najlepszy poeta. Niestety, wierszyków tych nikt nie spisywał, więc niewiele z nich przedostało się do naszej wiadomości, ale i te, które znamy, świadczą o nadzwyczajnym talencie maleńkiej Urszulki.

Czyż nie cudowna jest odpowiedź Urszulki hetmanowi, kiedy zażartował, że ją ze sobą zabierze? „Nie, ja dziewczyna; — odpowiedziała mu Urszulka, tobie trzeba syna... Mnie weźmie kto inny: aniołek niewinny!“ Albo, kiedy była już śmiertelnie chora i matka rozpaczała przy jej łóżeczku, Urszulka rzekła jej: „Nie płacz, matko, proszę! Ja idę do nieba na czystsze rozkosze, mnie zazdrościć trzeba! Twoja luba córka oblecze się w piórka, z aniołkami siędzie... Matko, źleż ci będzie mieć swego aniołka?“ Jeżeli się weźmie pod uwagę, że słowa o tak głębokiej treści, a tak pełne rzewnej poezji wypowiadała maleńka dziecina, to przyznać się musi, że Pan Bóg dziecinę tę obdarzył tak wielkim darem, jakiego może nikt drugi w świecie od Boga nie otrzymał. I dziwić się też nie można rodzicom tej ukochanej dzieciny, że drżeli, aby jej nie utracić, że rozpaczali przeogromnie po jej utracie. Wprawdzie wiedzieli, że córóchna ich poszła do nieba pomiędzy anioły, ale przecież woleliby byli mieć ją dłużej przy sobie i cieszyć się nią i szczycić się z jej daru Bożego.

Ojciec po zgonie swej ukochanej dzieciny napisał 19 ustępów przecudnej poezji, które nazwał „Trenami“, a w których wylał swój żal, tęsknotę i rozpacz po stracie najmilszej dzieciny. W tych żałobnych pieniach, pisanych łzami ojcowskiego serca, stworzył Kochanowski nie tylko arcydzieło liryki polskiej, ale zawarł nadto wielką naukę, że nie krucha mądrość ludzka, lecz Bóg jeden jest lekarzem cierpienia i rozpaczy.

Na obrazku naszym widzimy zmarłą Urszulkę spoczywającą na swem dziecinnem łóżeczku, z krzyżykiem w dłoni, a całą, jak aniołek w bieli. U nóg jej siedzi stroskany ojciec i wpatruje się w to kochane oblicze, które mu przyszło pożegnać na wieki.

Kochanowscy, oprócz Urszulki, mieli jeszcze sześcioro dzieci: pięć córeczek i jednego synka. W kilka lat po śmierci Urszulki umarła im jeszcze jedna córka, Hanna, cztery zaś inne: Ewa, Poliksena, Halszka i Krystyna przeżyły rodziców, ale żadna z nich nie posiadała daru poetyckiego. Jedyny zaś syn, który już po śmierci Jana Kochanowskiego się urodził, — umarł także dziecięciem.



MACIEK BZDURA GADA:

Rozindycyła sie Kaśka na mnie, ze casem powiadam, jako najlepsiejsa baba po pępek najgorsemu chłopu nie dorosła. Bo i jakze nie gadać, kiedy tak było, tak jest i tak będzie, a ze ja bajek nie lubię, to i prawdę musę gadać. Chwali sie Kaśka, ze baby lepsiejse i wyćciwia chłopom, ze zaden z nich zadnego brzdąca jesce nie umnozył. To niby i prawda, ale i to prawda, ze choć sama ma juz bezmała śtyrdzieści roków, to przecie, jak dotychcas i ona tego nie potrefiła, choć to niby jest baba. A nie potrefiła, bo przecie wiadomo, ze zadna baba nic bez chłopskiej pomocy, zrobić nie potrafi. A są baby i baby. Jedne są takie, coby im w wszelakiej robocie i dziesięciu dzień i noc pomogało, a są takie, której nawet z pomocą plebański pastuch nie pospiesy.

Chwali sie Kaśka, ze Poniezus baby z kości utworzył, a chłopa z piachu. Chwali sie, ale nie ma sie znowu cem tak bardzo chwalić, bo przecie wiadomo, ze z piachu i zytko sie rodzi i zimniacki i wszyćko to, co cleka przy siłach i zyciu utrzymuje. A z kości co jest. Połóz ją bez parę dni nawet na najpiękniejsem słonku, to sie albo chrobaki w niej zakocą, albo wyschnie, jak scypa, ze sie jej ani pies nie chyci. Tak jest z chłopami i tak z babami. Chłop, ten chłop, niby to zrobiony z piachu, jest jak cyment kwardy i z zadnej strony ugrzyźć go ni mozna. Pęknie mu w bijatyce głowa, to za parę dni sie zrośnie, ze ani śladu pęknięcia nie zostanie, zwali sie bida na niego, to przyschnie na niem, jak ta pokrzywa na wydmie piascystej. A baba co? Niech na nią nawet ino jaka nikcemna mucha siędzie i upali ją w nos, to sie potem śniej na wszystkie strony krew leje, ze trudno smatek nastarcyć, aby ją utamować. A ze babę juz za zycia robaki mogą roztocyć, wiedzą o tem scególniej miastowe baby i bez to se piachem gęby cementują, aby sie tam gdzie jakie paskudztwo nie dostało i na gębie nie zacęło za zywota wiercieć.

Powiada Kaśka, ze baby wszyćko potrafią. Bajka prześwietny sądzie. Niechby tak która śnich spróbowała pójść do wojska i niechby jej tam kazali bez pięć minut stać na bacność! Nie wytrzymałaby, boby jej jęzor pępkiem na świat boży wyleciał. Albo niechby jej kazali tak równiuśko drogą jedną i dwie mile masirować i cięgiem a cięgiem patrzyć ino przed siebie. Myślicie, zeby potrafiła. Jakby sie jaki źgac na drodze przytrafił, to pewnikiem gałyby za niem wywaliła i zarazby skręciła gdzie w jakie krzaki, a z porządnego marsiu zostałyby flaki. A jakby tak przysło do wojny i trzeba było strzylać do nieprzyjaciela? Jakby tam u nieprzyjaciela były ino same pokraki, toby tam moze jesce ta i tamta baba prała do nich z karabina, cy harmaty. Ale chyba nikt nie uwierzy, ze jakby przed taką Kaśką, Zośką, cy Magdą stanął jaki moskiewski, cy miemiecki śturkac, zeby ona do niego strzylała! Strzylałaby, ale ślipiami! No i coby to była za wojna, jakby jedna i druga dziopa zamiast prać nieprzyjacielskich chłopów pouwisały sie jem u karków i zacęły mędrygały prawić. No co prawda, to prawda, zeby na takiej wojnie ludzi nie ubywało, ale przybywało, nie byłaby to jednak wojna i nie wiadomo, ktoby w niej był na górze, a kto na dole.

Powiada Kaśka, ze zeby nie baby, toby nie miał kto chłopu strawy ugdysić i wsów wyiskać. Co prawda, to teraz tego chłopy nie robią, bo to za bagatelna la nich robota, ale jakby babów na świecie nie było, toby i to potrafili i jesce moze lepiej i prędzej od babów. Bo weźmy naprzykład takie gotowanie; urządzają sobie przy niem baby więcej zabawki, anizeli roboty. Popatrzcie, jak one sie z takiemi zimniackami certolą! Obłupują to ze skórki, a płukają, a próbują, a posalają, jakby to wszyćko było potrzebne. Jabym ta tak nie robił! Nabrałbym z kopca zimniacków, ileby było potrza, wsypał do garcka, nalał wody, nasypał parę garści soli i niechby sie ta wszyćko na ogniu kutwasiło! Łupinkaby od zimniacka sama delikatnie odlazła, sól wlazłaby do środka zimniaka, odcedziłbym wodę i juz byłoby jedzenie galantne, zeby sami jegomość po niem palce oblizywali. Jedzenieby było, ale ciaćkania sie z niem tak, jak u bab, nie byłoby i amen.

Albo weźmy takie iskanie. Nie da sie zaprzeczyć, ze baby robią to z wielką umiejętnością i przyjemnością, ale pomyślcie sami, ile jem na tem casu schodzi. Weźnie taką kosulinę, cy portasy zaraz po śniadaniu, siedzi nad nią do wiecora, a suka i gmyrze, to raz paznokciem cosik ną stole przydusi, to znowu palce oblize i po całem dniu takiej roboty zdawałoby sie, ze wszyćko na glanc zrobione. Ale jak wciągnies nazajutrz na siebie taką haderę, to jak cię poprzódzi w niej gryzło, tak i dalej gryzie i nie wiadomo, kiedy będzie koniec tej przyjemności. Chłop taką operacyję zrobiłby całkiem inacej. Wziąłby portasy, położył na klocku, wytrzaskał dobrze kijonicą i za parę minut byłoby po interesie. A jakby mimo to gryzienie nie ustawało, to powtórzyłby tę czynność za parę tygodni, lub miesięcy, a nie bawiłby sie godzinami nad takiem drobiazgiem, na który ani splunąć nie warto.

Ale niech se ta Kaśka gada dalej, bo przecie wiadomo, ze kobieta nie ma rozumu w głowie, ino na języku i bez to cięgiem musi niem obracać, a choćby gadała nawet jesce tydzień po skońceniu świata, to przecie zadnego chłopa nie przekona, ze one są od nas wartniejse.

Błogosławieni...

Błogosławieni, którzy od wschodu słońca,
pracują aż do dnia końca.
Choć w pracy szczerze są utrudzeni!
Błogosławieni!!!
Błogosławieni, którzy przez dzień cały,
pracują tylko dla Bożej chwały!
I kroczą za Nim, jak święte cienie...
Błogosławieni!!!
Błogosławieni, którzy w czoła pocie,
pracują dla bliźnich, których mamy krocie,
Zmywając pot z czoła, w chłodnej zieleni.
Błogosławieni!!!
Błogosławieni, którzy pracują dla chleba,
nie spuszczają oczu z błękitu nieba.
Choć głód ich morzy i są wycieńczeni,
Błogosławieni!!!
Błogosławieni, którzy w swych myślach Boga
mają zawsze, czy radość, czy trwoga.
Albowiem dla nich świat szczęściem promieni!!!
Błogosławieni!!!

Władek Chłopdola.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Kochinchina III.

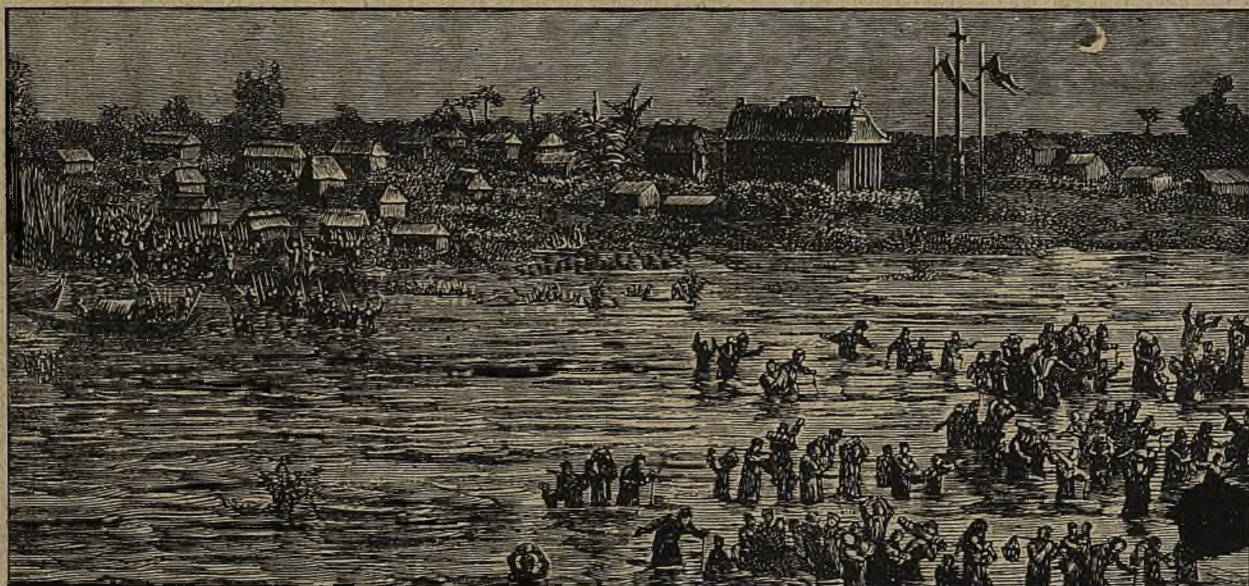
Jak to już powiedzieliśmy w poprzednim numerze „Roli", wielu mieszkańców Kochinchiny zdołali misjonarze nawrócić na wiarę chrześcijańską. Ale też wielu z nich przepłaciło to męczeńską śmiercią, jak również wielu chrześcijan krajowców zginęło z rąk bratobójczych. O jednem z takich okrutnych prześladowań opowiada misjonarz O. Hamon. A oto wyjątek z jego opowiadania:



Wieś chrześcijańska.

W prowincji Mytho leży w bagnistej okolicy wieś Ba-Giong. Składają się na nią biedne słomą pokryte lepianki, zamieszkałe przez lud rolniczy, ubogi w dary doczesne, ale bogaty w klejnoty niebieskie. Wznoszące się między nimi zabudowanie większych rozmiarów, ozdobione krzyżem (patrz pierwszy obrazek) świadczy, że jest to gmina chrześcijańska. Rzeczywiście wszyscy mieszkańcy tej wsi w r. 1861 byli bez wyjątku chrześcijanami, szczerze przywiązanymi do wiary świętej. W cichem swem ustroniu oddawna żyli spokojnie. Oddani pracy i pobożności, nikomu się nie naprzykrzali, ale i ich w ciągu długoletnich prześladowań, skutkiem cudownej opieki Bożej, zostawiono w spokoju. Atoli w roku 1861 dotkliwie zaciężyły i na nich srogie wyroki jednego z tamtejszych mandarynów. Około stu mieszkańców wsi Ba-Giong uwięziono za to jedynie, że ośmielili się wyznawać religię chrześcijańską. I byliby niezawodnie ponieśli śmierć męczeńską, gdyby nie nadejście Francuzów, którzy oswobodzili uwięzionych. To rozwścieczyło mandarynów, którzy rozbiegli się z wojskiem po kraju, o niczem innem nie myśląc, tylko o mordowaniu chrześcijan. Nie czując bowiem w sobie odwagi, aby stawić czoło Francuzom, chcieli na bezbronnej i spokojnej ludności chrześcijańskiej pomścić się za doznaną klęskę. Postanowiono przedewszystkiem wyciąć w pień wszystką ludność w Ba-Giong. Napad postanowiono wykonać w nocy tak, aby ani jeden chrześcijanin nie wyszedł żywy z całej wioski. Zamiar ten trzymano w największej tajemnicy, ale przecież znalazł się jeden poczciwy poganin, który uwiadomił mieszkańców o tem, co się stać miało, ale uwiadomił zapóźno. Chrześcijanie przerażeni nie mieli czasu ratować się ucieczką, gdyż dookoła były same wsi pogańskie, a nadto porozstawiane wszędzie straże i oddziały wojska zwracały baczną uwagę na wieś nieszczęśliwą. Niektórzy próbowali przedrzeć się potajemnie przez obręcz rozstawionej straży, ale niebawem wpadli w ręce nieprzyjaciół i na miejscu zostali porąbani.

Z jednej tylko strony ucieczka zdawała się być możliwą, to jest ze strony jeziora. Mandaryni bowiem nie przypuszczali wcale, aby się chrześcijanie mogli przeprawić przez to jezioro, o którem wiedzieli, że było bardzo trudne do przebycia z powodu mulistego gruntu. Ale chrześcijanie obrali tę jedy-



Ucieczka chrześcijan

ną, jaka im pozostawała, drogę, gdyż z tej strony wojska nie było zupełnie. Wziąwszy ze sobą dzieci i to wszystko z mienia, co jeszcze naprędce zebrać mogli, zapuścili się w nurty jeziora.

Nagle rozległ się okrzyk:

— Wojsko się zbliża!

Biedni ludzie, ile sił mieli, brnęli przez nielitościwą wodę. Wszyscy wspierali się, jak mogli. Ciemność nocy utrudniała ucieczkę, przynajmniej jednak osłaniała uciekających przed okiem prześladowców. Ale oto ukazuje się już księżyc na niebie, za wcześnie, niestety, i blade swe światło rozlewa po powierzchni wody. Straże, zbliżywszy się do wsi, spostrzegają wkrótce pustki w ich domach, a oglądając się dokoła, widzą zdala gromadę uciekających przez jezioro chrześcijan. Żołnierze i zgraje siepaczy pędzą za nimi, jak mogą najspieszniej, jedni brną w wodzie, drudzy gromadzą łodzie, aby wyprzedziwszy chrześcijan, przeciąć im drogę.

Straszną tę chwilę przedstawia nasz drugi obrazek.

Jęki żałosne rozlegają się pośród uciekających. Wszyscy przyspieszają kroku, ale dzieci i chorzy utrudniają im pośpiech, a coraz to bliżej nastawają nieprzyjaciele. Wreszcie rozprasza się gromada; kto jeszcze ma trochę siły, szuka ratunku w jak najprędszej ucieczce. Niebawem słabi, dzieci i niewiasty, tudzież dwudziestu pięciu mężów zdrowych, którzy nie chcieli swoich żon i dzieci opuścić, wpadli w ręce złoczyńców. Zawleczono ich do najbliższego miasteczka Kiu-czi i oddano narazie pod straż uzbrojonego żołnierza.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

Eugenja podrzuciła główkę, jakby sobie coś przypomniała.

— W takim razie pozostaje mi tylko przeprosić pana — odezwała się z uśmiechem.

— Mnie! — wybąknął Juljusz zdziwiony.

— Pokazuje się, że bogini pańska była rzeczywistą istotą.

— O, tego byłem pewny od samego początku!

— U mnie zaś niestety dotąd pozostają jeszcze niejakie wątpliwości — poszepnęła z lekkiem skinieniem ręki.

Hrabia siedział dotychczas zatopiony w myślach, nagle podniósł głowę i spozierając uważnie w twarz młodzieńca, zapytał:

— Czy mandatarjusz pański zrobił użytek z wszystkich tych zeznań?

— Broń Boże! Lecz i tak już zwrócona uwaga zwierzchności; toteż lada dzień może zjechać na śledztwo komisarz, urzędnik wielce gorliwy...

Hrabia pochylił nieco głowę, a Juljuszowi zdało się, że lekki rumieniec wybiegł na jego lica.

— To przynajmniej z Kostiem nie omieszkasz się pan rozmówić.

— Byłbym to już dziś uczynił, gdyby mię nie zaprzątnął inny szczególny wypadek w moim domu.

— Ah! — zawołała hrabina, przypominając sobie posłyszaną świeżo historję o Czorgucie.

Juljusz ciągnął dalej:

— Przed dwoma dniami przybył do mnie mój dawny kolega szkolny i miał dłuższy czas przepędzić u mnie, ale wczoraj wyjechał gdzieś konno w nocy, uzbrojony w moje pistolety i nie wrócił. Koń jego przybiegł z przerwaną uzdą i ranny ciężko w bok.

— Więc to prawda! — krzyknęły jednocześnie matka i córka.

— Szczególna... — mruknął hrabia.

Juljusz potarł czoło i prawił dalej:

— Nie wiem wcale, co sądzić o tem zdarzeniu. Mój przyjaciel, jestto człowiek zapamiętałej odwagi, posuniętej aż do szalonej zuchwałości, ale nie mogę dociec, gdzieby mógł popaść w takie niebezpieczestwo.

— Może spadł poprostu, a koń przebił się o kół od płotu.

— To zdawałoby się wcale prawdopodobnem, gdyby nie przerwana uzda!

— Na jakiż pan tedy wpadasz domysł?

— Lękam się, czy nie zagnawszy się przypadkowo pod zaklęty dwór, nie popadł tam jakiemu przypadkowi.

— Ależ dla Boga — poderwała Eugenja — z zaklętego dworu robi się naprawdę coś zaklętego.

Hrabia wzruszył ramionami, a hrabina coś niezrozumiałe szepnęła po francusku.

W tej chwili wszedł galonowy lokaj do salonu i na srebrnej tacy przyniósł list opieczętowany.

— Do jasnej pani — rzekł z ukłonem.

Hrabina skwapliwie pochwyciła za list, przebiegła szybko oczyma po różowej karcie listowej, a naraz oderwała się od czytania.

— August powrócił!

— Powrócił! — wykrzyknęła Eugenja i z taką jakąś radością poskoczyła w krześle, że Juljusz sam nie wiedząc czego, zadrżał na całem ciele i uczuł, że mu się jakoś gwałtownie ścisnęło serce.

Eugenja jakby czując potrzebę wytłomaczenia się ze swego nagłego wybuchu radości, zwróciła się do Juljusza i rzekła:

— August... to mój kuzyn, jakiś brat cioteczno-wujeczny, spólnik i towarzysz zabaw i igraszek dziecięcych. Wraca obecnie z zagranicy, gdzie przepędził całe trzy lata.

Tłomaczenie to zamiast pomniejszyć, powiększyło w Juljuszu tylko nieprzyjemne wrażenie pierwszej chwili.

Odtąd zupełnie już stracił humor, a wmawiając w siebie, że dopełnił już swego obowiązku, zbył jak najkrócej swą wizytę i pożegnał się z hrabstwem.

Hrabia nie próbował go zatrzymywać i ani jednem słówkiem nie ponowił dawnych zwyczajnych zaprosin, a do tego przymieszało się widocznie przy pożegnaniu jakieś mimowolne pomieszanie i zakłopotanie.

Nie uszło to uwagi Juljusza, a oczywiście nowe stąd wysnuwały się uwagi i wątpliwości.

Przekonany silnie, że dziewczyną ogrodową była hrabianka, wykładał sobie po swojemu owe szczególniejsze zakłopotanie hrabiego.

Do tych myśli i rozpamiętywań mieszało się i wspomnienie owego Augusta, którego powrót z zagranicy w tak wielką radość wprowadził Eugenję.

Przypomniał sobie teraz, że o tym Auguście często poprzednio słyszał wzmianki. Był to młody hra-

bia August Wyklicki, kuzyn hrabiny i bliski sąsiad majątku hrabstwa.

Juljusz nie widział go nigdy, słyszał o nim bardzo mało, a jakąś dziwną czuł już ku niemu zazdrość i odrazę.

Pochylił głowę na piersi i zamarzył głęboko, powóz tymczasem skręcił się w bok wzdłuż szerokiego łanu żyta, który jednolitym obszarem ciągnął się aż po jedną stronę żywopłotu przy ogrodzie pałacowym.



Jakaś postać wyskoczyła z żyta...

Podjeżdżając pod mały pagórek, powóz zwolnił cokolwiek biegu, a w tej samej chwili pędem błyskawicy jakaś postać wyskoczyła z żyta i jednym susem dopadła stopni powozu.

Wyrwany niespodziewanie ze swego głębokiego zamyślenia, nie mógł Juljusz lekkiego przytłumić wykrzyku, który wzmógł się jeszcze, kiedy w tej jakby z Nieba spadłej postaci poznał Katilinę.

Niepoprawny awanturnik, któregośmy w tak nieprzyjemnej pozycji zostawili w czerwonym pokoju zaklętego dworu, wyglądał dziwnie jakoś zmieniony na twarzy. Zatarł się ów zuchwały, wyzywający wyraz oczu, znikł ów drwiący, rubaszny uśmiech lekceważenia z ust zaciśniętych.

W tym momencie pan Damazy Czorgut wyglądał na przyzwoitego, jakąś ważną sprawą zaprzątniętego człowieka, a w ruchach jego jakiś febryczny przebijał pośpiech.

— Ty!! tu!!! — wykrzyknął Juljusz zdziwiony.

— Pst!... sza... Nie mam czasu teraz...! Nie susz sobie głowy o mnie... Wkrótce się zobaczymy... Mam ci wiele powiedzieć... — szepnął urywanym głosem i ścisnąwszy w przelocie rękę osłupiałego ze zdziwienia przyjaciela, skoczył z stopnia i w jednem mgnieniu oka znikł napowrót w gęstwinie żyta.

Wszystko to stało się tak nagle, prędko i niespodziewanie, że Juljusz musiał aż przetrzeć oczy, aby całe to spotkanie nie wziąć za senne złudzenie, a biedny furman posłyszawszy jakiś głos za sobą i obejrzawszy się co żywo, mało lejce nie wypuścił z przestrachu, tak szybko mignął i zniknął mu przed oczyma cień jakiejś nierozeznanej bliżej postaci.

Koniec części pierwszej.

Jan Kochanowski.

Obecnie przypada 400-letnia rocznica urodzin twórcy poezji polskiej, Jana Kochanowskiego.

Urodził się w Sycynie, jako młodszy syn sędziego sandomierskiego. Ukończywszy chlubnie akademję w Krakowie, udał się na dalsze studja zagranicę do najsławniejszych ówcześnie uniwersytetów: we Włoszech i Francji. Tam też powstały pierwsze próby paetyckie Kochanowskiego, zrazu w języku próby poetyckie Kochanowskiego, zrazu w języku wiązywała powszechnie łacina nietylko w kościele, lecz również w szkołach i w całem wogóle życiu warstw oświeconych. Przeciw temu uprzywilejowaniu mowy nieżyjących już Rzymian zaczęli występować najwybitniejsi ludzie epoki, domagając się rozwoju języków narodowych. Kochanowski również stał się gorącym zwolennikiem tego prądu umysłowego i odtąd tworzył li-tylko po polsku.

Powróciwszy do ojczyzny dostał się za protekcją możnych przyjaciół do kancelarji króla Zygmunta Augusta. Zamieszkał tedy w Krakowie, bywał często na zamku i pisał pieśni miłosne oraz dowcipne wierszyki pod nazwą fraszek. Lecz hulaszcze życie dworskie nie sprzyja twórczości, przenosi się więc poeta do rodzinnego Czarnolasu. Poślubiwszy Dorotę Podlodowską oddaje się Kochanowski życiu sielskiemu, opromienionemu miłością wzrastającej rodziny, pięknością przyrody oraz zgodnem współżyciem z ludem wiejskim, którego zwyczaje opiewa w różnych wierszach, zwłaszcza w „Pieśni świętojańskiej o Sobótce".

Mimo, iż odsunął się od ofiarowywanych mu urzędów, nie przestał jednak Kochanowski interesować się sprawami obchodzącemi żywo ogół obywateli, czemu daje wyraz w licznych natchnionych pieśniach, opiewających nasze zwycięstwa lub klęski, ganiących przywary narodowe, a nawołujące do cnoty.

Większym utworem nawskróś patrjotycznym jest „Odprawa posłów greckich", pierwsza tragedja polska; piętnuje ona burzliwe sejmy polskie, warcholstwo posłów, którzy dla własnych korzyści prowadzą ojczyznę do zguby — dźwięczy pobudką, ukazując nieprzyjaciela, szykującego się do napaści.

Oprócz ukochania kraju tętni w poezjach Kochanowskiego również miłość do Boga, przebijająca się w wzniosłym hymnie: „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?" licznych wierszach okolicznościowych, a najwybitniej w „Psałterzu", skomponowanym na wzór króla Dawida; niektóre z tych psalmów śpiewamy jeszcze dzisiaj w świątyniach naszych.

W roku 1579, uderzył w poetę grom: zmarła jego najukochańsza córeczka Urszula, licząca zaledwo dwa lata, a odznaczająca się niesłychanym w tym wieku darem wierszowania. Strata ta była okropnym ciosem dla ojca. Długi czas rozpaczał bardzo, nim znalazł wreszcie ukojenie w modlitwie.

Obrazem uczuć miotających wtedy poetą jest najznakomitszy pomnik bólu rodzicielskiego na świecie: „Treny".

W kilka lat po zgonie Urszulki ugodził Kochanowskiego nowy cios: zginął tragiczną śmiercią w Turcji szwagier i przywiązany przyjaciel Podlodowski. Na wieść o tem zakończył nagle poeta życie, tknięty apopleksją. Działo się to w Lublinie roku Pańskiego 1584. Doczesne jego zwłoki spoczęły na cmentarzu w Zwoleniu koło Radomia.

Kochanowski jest nietylko genjalnym twórcą poezji polskiej, lecz także przedstawicielem najszla-

chętniejszego ducha epoki Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, oraz wyrazicielem zdrowej myśli i trzeźwych zapatrywań duszy narodowej, opartych o pierwiastki nauki Chrystusowej.

Czesław Wośkowski.

Tłomacz. z rosyjskiego J. Gazda.

N. GOGOL.

Świętojański wieczór.

Opowiadanie starego kozaka.

Mój dziadek (niech tam odpoczywa z Bogiem, niech mu tam na tamtym świecie smacznie zajadają się kołacze i makowniki z miodem) potrafił różne dziwa opowiadać. Gdy czasem zacznie opowiadać, to cały dzień siedziałbyś zasłuchany w miejscu i słuchał bez końca.

Pamiętam jeszcze, jak dziś, nieboszczka matka staruszka jeszcze żyła, kiedy w długi zimowy wieczór trzeszczał na dworze mróz i zamurowywał wąziutkie okienko naszej chaty, a ona siedziała za kądzielą i, wywodząc ręką długą nić, kołysała nogą kołyskę, śpiewając piosenkę, którą jakby dziś słyszę. Kaganek migotał światłem, jakoby się czegoś lękał, i słabo oświecał chatę. Wrzeciono warczało, a my, dzieci, zebrawszy się w kupkę, słuchaliśmy opowiadania dziadka, który wskutek starości już od pięciu lat nie schodził ze swego legowiska.

Nie dziwne nam były już opowiadania o najazdach Zaporożców na Polskę i o śmiałych czynach Podkowy, Kożucha albo Sahajdacznego, sławnych wodzów Kozaczyzny i nie zajmowały one nas tak, jak opowiadania o starych, dziwnych rzeczach, przy słuchaniu których mrowie przechodziło po skórze, a włosy jeżyły się na głowie. Czasami zdarzarze, a włosy jeżyły się na głowie. Czasami zdarzaprzejmował, iż o zmroku wszystko okazywało się jakieś dziwne i straszne. Bywało, że kiedy w nocy wyszedłem za potrzebą, po powrocie do chaty widziałem na swej pościeli zwiniętego w kłębek djabła, który w rzeczywistości nie był niczem innem, tylko zwiniętą świtką pod głową.

Dziadek mój miał już to do siebie, że nigdy nie kłamał, a co opowiadał, to było świętą prawdą.

Jedną z cudnych jego powiastek teraz wam opowiem, choć wiem, że znajdzie się dość mądrali, którzy w prawdziwość zdarzenia nie uwierzą.

...Będzie temu więcej nad sto lat — opowiadał mój nieboszczyk dziadek. — Naszego sioła niktby z dzisiejszych wówczas nie poznał. Ot biedny i nędzny hutor! Z dziesięć izbiot nielepionych i niebielonych sterczało tam i siam po polu. Ni płotu, ni stajni, gdzieby można było schronić bydło, albo postawić wóz. A i to posiadali tylko bogaci, bo ubodzy kontentowali się wyrytą w ziemi jamą, która zastępowała im chatę. Tylko po dymie można było poznać, że tam żyje człowiek Boży.

Zapewne jesteście ciekawi, dlaczego tak wtenczas ludzie mieszkali? Otóż bieda, nie bieda, lecz wtenczas żyło się kozackiem obyczajem, pocóż więc było budować obszerniejszą chatę, kiedy życie spływało na wyprawach po różnych krajach, a nawzajem na Kozaczyznę najeżdżały również różne narody, jak Krymcy, Polacy, Litwini, a zdarzało się, że i swoi najeżdżali kupami i obdzierali swoich, jeżeli się tylko dało. Różnie, różnie bywało!...

W tym to właśnie hutorze pokazywał się w owe czasy często człowiek, a właściwie djabeł w ludzkiej postaci. Skąd on i po co przychodził, tego nikt nie wiedział. Pohulawszy po hutorze, znikał zaraz, jak kamień w wodę, że ani śladu po nim nie pozostało. Lecz jeszcze o nim nie zdołano zapomnieć, kiedy zjawia się z powrotem, jakby z pod ziemi wyrósł, ugania po drodze, a nazbierawszy chłopaków, zawodzi śpiewy i wyprawia hulatyki, sypie pieniądzmi na wszystkie strony, a wódka leje się kieby woda. Czasami zdarzy się, kiedy spotka ładne dziewuchy, narozdaje im wstążek, korali, paciorków, że nie wiadomo, gdzie to chować. Prawda, że dziewuszki, przyjmując podarki, dziwiły się, skąd to pochodzi. „Bóg raczy wiedzieć, — mówiły — może to rzeczywiście pochodzi z nieczystych rąk?“ — ale brały.

Rodzona ciotka mojego dziadka, która trzymała natenczas szynk około dzisiejszej oposzyńskiej drogi, a w którym często hulał Basawrjuk, jak nazywano owego szalonego człowieka, mówiła, że za żadne skarby świata nie zgodziłaby się była przyjąć od niego podarunku. Ale jakże z drugiej strony było nie przyjąć, kiedy każdego owładał przestrach, gdy Basawrjuk nachmurzył swoje szczeciniaste brwi i skierował z podełba taki wzrok, że mogło ponieść człeka, Bóg wie gdzie, od strachu. Przyjmowano więc, ale gdy kto przyjął, to już na drugą noc sunął do niego jakiś tajemny gość z błota z rogami na głowie i dalejże dusić swoją ofiarę za szyję, jeżeli na szyji były darowane jej paciorki, albo kąsać w palec, gdy na palcu był pierścionek, lub też ciągnąć za włosy, jeżeli we włosach znajdowała się wstążeczka od niego.

Do licha z takiemi podarunkami! Cóż kiedy i odmówić nie można! Rzucisz do wody — pływa czartowski pierścień albo korale po powierzchni wody i samo lezie do ręki!...

W siole była cerkiew, poświęcona, o ile się nie mylę, świętemu Pantaleonowi. Przy cerkwi tej żył natenczas pop, świętej pamięci ojciec Anastazy, który, zauważywszy, że Basawrjuk nawet i na świętą Wielkanoc nie bywał w cerkwi, postanowił zrobić mu wymówkę i nałożyć cerkiewną pokutę.

— Czegóż ty chcesz odemnie — krzyknął Basawrjuk popu w odpowiedzi — pilnuj ty lepiej swoich popowskich spraw, a nie mieszaj się do cudzych, jeżeli nie chcesz, ażeby twoje kozle gardło nie było zalepione gorącą „kutją!“

Cóż było robić? Ojciec Anastazy ogłosił tylko, kto zaprzyjaźni się z Basawrjukiem, będzie uważany za heretyka, za wroga wiary Chrystusowej i wszelkiego rodzaju ludzkiego.

W tem to siole u pewnego kozaka nazwiskiem Korża był robotnik, którego ludzie nazywali Piotrem Bezrodnym, a to zdaje się dlatego, że nikt nie pamiętał ani ojca, ani matki jego. Służący cerkiewny powiadał wprawdzie, że rodzice jego pomarli na dżumę, kiedy mu było dwa lata, jednak ciotka mojego dziadka słyszeć o tem nie chciała i wszystkiemi siłami starała się uznać go za krewnego, chociaż dla Piotrusia tyle z tego było pożytku, ile nam ze zeszłorocznego śniegu.

Czarnobrewym dziewczętom mało na tem zależało, gdzie i jak on się tam urodził. One tylko mówiły, że jakby go tak ubrać w nowy żupan, opasać czerwonym pasem, nałożyć na głowę czapkę z drobnym futerkiem i błękitnem dnem, przypasać do boku turecką szablę, dać do jednej ręki nahajkę, a do drugiej fajkę w czerwonej oprawie, to onby wszystkich parobczaków zatknął za pas. Jednak cała bieda była w tem, że Piotruś miał wszystkiego tylko jedną świtkę, i to jeszcze więcej w niej było dziur,

aniżeli u niektórego żyda złotych w kieszeni. Jednak z tego powodu nie byłoby jeszcze wielkiej biedy, ale w czem innem była bieda. Oto u starego Korży była śliczna córka, jakiej, jak myślę, jeszcze się wam nigdy w życiu nie zdarzyło widzieć. Ciotka nieboszczyka dziadka sama mówiła — a jak sami wiecie, że babie łatwiej się z djabłem pocałować, aniżeli, żeby nazwała drugą kobietę ładną — otóż ciotka mówiła, że okrąglutkie policzki kozaczki były różowiutkie, jak mak delikatnego koloru, kiedy, umywszy się w Bożej rosie, płonie, rozwijając swoje listki przed co tylko wzeszłem słońcu; że brwi jej były jako czarne sznureczki, jakie teraz kupują dziewczęta do krzyżyków u włóczących się z pakunkami po wsiach Moskali; na widok jej usteczek oblizywała się ówczesna młodzież, a były one stworzone do nucenia słowiczych pieśni; włosy jej czarne, jak skrzydła kruka i miękkie, jak młody len, przeplatane czerwonemi o silnych kolorach wstążeczkami, padały dużemi kosamina złotem szyty kontusz. Oj nie daj mi Boże więcej zaśpiewać Alleluja — mówił dziadek — gdybym jaj jej zaraz choćby i tutaj nie wycałował, chociaż szron pokrywa mój stary las na łbie i choć pod bokiem siedzi moja stara, jak bielmo na oku!

A gdzie parobek i dziewczyna żyją w pobliżu siebie... sami wiecie, co z tego bywa.



Stary Korża byłby się może niczego nie domyślił, gdyby go „kusy“ na to nie naprowadziły. Pewnego razu zachciało się Piotrusiowi wlepić w sieni od duszy pocałunek w różowe usteczka kozaczki. Pocałunek nie był złą rzeczą, ale to było złem, że Piotruś nie rozglądnął się przedtem i nie spostrzegł, że „kusy“ naprowadził na ten moment starego Korżę.

Pocałunek, wyciśnięty na różowych usteczkach kozaczki przez Piotrusia, był uderzeniem pioruna w starego Korżę. Opamiętawszy się jednak momentalnie, Korża zdjął ze ściany nahajkę i już miał nią pokropić plecy biednego Piotrusia, gdy wtem nadbiegł Iwaś, sześcioletni syn Korży, który, ująwszy ojca za nogi swemi rączętami, zakrzyczał:

— Tato! tato! nie bij Piotrusia!

Cóż było począć? Przecież u ojca serce nie z kamienia. Powiesiwszy nahajkę z powrotem na ścianie, wyprowadził Piotrusia cichutko z chaty i rzekł mu:

— Jeżeli mi się ty kiedykolwiek pokażesz w chacie lub choćby pod oknami, to pamiętaj, że, jak tu stoję, przepadną twoje czarne wąsy i osełedec (osełedec — kępa włosów na środku głowy — resztę włosów kozacy niegdyś golili), który już dwa razy obmotujesz około ucha! Jak jestem Terentij Korża, tak pożegnasz się z twoją łepetą!

Powiedziawszy to, Korża dał mu takiego szturchańca, że biedny chłopak, nie czując ziemi pod nogami, wyleciał, jak z procy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Poradnik gospodarczy.

Pasza zielona.

Dość rozpowszechnionym jest sposób tamowania bujnego rozwoju pszenicy przez ścinianie piór, czyli tego listowia, które aż kładzie się z powodu silnego wzrostu. Operacja ta bywa jednak wykonywana zbyt skwapliwie, zwłaszcza przez nasze gosposie, które nie tyle dla dobra przyszłego plonu pszenicy, ile dla dobra żywiny jaknajwięcej rade uszczknąć tej przygodnej zielonki. To też należy zwrócić uwagę, że przy tej operacji można często zniszczyć i zawiązki kłosów, a z drugiej strony, jeśli przykaszanie ma miejsce przed następującemi potem deszczami, to pszenica jeszcze mocniej się zakrzewia i da nam pośład. To też daleko skuteczniejszym sposobem osłabienia wzrostu zbyt bujnej pszenicy jest wałowanie. Tylko robotę tę wykonywa się dopiero wtenczas, kiedy pszenica pójdzie w kolanka, nie wcześniej. Puszcza się wał gładki, zajeżdżając na pole z jednego boku, a wracając drugą stroną pola, tak, że w końcu wypadnie, że na pół pola będzie pszenica pochylona w jedną stronę, a na drugiej połowie w stronę przeciwną. Po paru dniach pszenica wstanie, ale właśnie ten wysiłek prostowania się, które zresztą przy ziemi nie będzie zupełne, powstrzymuje zbyt bujny wzrost i skutecznie zapobiega późniejszemu wyleganiu.

Przy tym sposobie nie otrzymuje się przygodnych korzyści z pszenicznego listowia — ale też nie jest to korzyść, na którą się powinno liczyć w porządnem gospodarstwie; na to, aby mieć pewną paszę dla krów — siejemy zielonki, lub zakładamy kulturalne paśniki. Takie paśniki czyli przydomowe pastwiska, powinny być nawet tam, gdzie na zielonki zasiewa się różne motylkowe rośliny, bo właśnie paśniki mają być pomocne w czasie, gdy zielonki jeszcze nie urosły, albo jedne przeszły, a drugie nie urosły. Niech będzie choć kilkanaście zagonów takiego żyznego przydomowego pastwiska, a można będzie cztery krowy wyżywić w okresach przejściowych, a nawet i codzień półdniówkami wypuszczać je tu na spacer, stosując w domu zakładki. Kto takiego pastwiska wyborowego jeszcze nie ma, ten winien się o nie zatroszczyć, a więc np. można po zielonce, sprzątniętej w początkach czerwca, rolę poorać równiutko, uwlec i nasiać odpowiednich traw. W roku przyszłym będzie już paśnik gotowy. Traw może być kilka gatunków, zależnie od rodzaju gruntu, (byle nie na suchym piasku), a przedewszystkiem rajgras angielski, koniczyna biała, jako rośliny podstawowe.

Dzięki tegorocznej wczesnej i dość ciepłej wiośnie, w gospodarstwach zabiegliwych mamy już pierwsze zielonki z tegorocznego zasiewu. Nie należy nigdy wyczekiwać i łakomić się na to, że to jeszcze podrośnie, lecz jak tylko pierwsze kwiaty wyki, czy peluszki się pokażą, ciąć i spasać. Za to można i należy skorzystać z danego pola w ten sposób, że natychmiast za kosą pierwszego sprzętu siać mieszankę odpowiednich nasion na drugi sprzęt, aby znów na początek sierpnia mieć nowy pokos zielon-

ki. Trzeba to robić zgrabnie, to znaczy ciąć mieszankę najpierw nad bruzdą, rozszerzając się z kosą w boki wzdłuż całego pola, żeby od ręki zagarniając pługiem w bruzdę, zaorywać, włóczyć i siać, zanim pole zaschnie. Zamiast mieszanki zielonej można tu również flancować brukiew, lub buraki —. zależnie od jakości gruntu i gospodarczej potrzeby. Byle tylko pole nie próżnowało.

Teraz już także ostatni czas na zasiew lucerny i esparcety. Ta ostatnia na gruntach wapnistych, gdzie np. w spodzie skała wapienna, jest jedyną rośliną pastewną, która się doskonale udaje, a świetna z niej pasza zielona i znakomite siano.

Pora teraz przerywki wcześnie sianych: marchwi, buraków i maku. Nigdy się z tą robotą nie należy opóźniać, pamiętając, że jedna tylko roślina w danem miejscu może rosnąć, a to, co przy niej w kępce, choć się tak samo nazywa — ale jest poprostu chwastem, odbiera pokarm, wilgoć i światło. Marchew przerywamy, zostawiając roślinę przy roślinie gęstawo np. co 10 cm., burak co 15 cm. a nawet co 18 cm, zwłaszcza pastewny, rosnący nad ziemię i w ziemi bogatej, powinien stać jeszcze rzadziej mak, bo o 30 cm. w rzędzie. Należałoby raz na zawsze zaniechać mody pozostawienia kilku roślin w kupie do późniejszego przerwania, że to niby może jaki robak jedną zniszczyć, to przynajmniej druga pozostanie. Nie zostanie, bo jak larwa owada utnie korzonki, to zawsze wszystkie i cała kępka zwiędnie i zginie. To też tam, gdzie się trafiają takie wycinki, trzeba ziemię odgrzebać, robaka znaleźć — utrupić — a na to miejsce doflancować brukwi, albo dosiać fasoli. Tam, gdzie się ochrania ptactwo, gdzie dzieci nie wykradają ptaszkom gniazd — to i owadów bywa mniej i szkód przez to nie tyle, zarówno w polu jak i w ogrodzie.

KRONIKA.

Rocznica urodzin Jana Kochanowskiego. Jak wiadomo, w czerwcu bieżącego roku przypada 400-letnia rocznica urodzin wielkiego poety polskiego, Jana Kochanowskiego. Z okazji tej odbywają się w całej Polsce uroczyste obchody, na których wygłaszane są odczyty o tym wielkim naszym rodaku. Podobna uroczystość odbyła się również w Zielone Świątki w Krakowie. Na Zjazd naukowy im. J. Kochanowskiego przybyło z całej Polski około 700 osób, a także kilkadziesiąt osób z zagranicy, przeważnie znanych w świecie uczonych. Z obcych narodowości byli reprezentowani na Zjeździe Francuzi, Włosi, Anglicy, Niemcy, Czesi, Jugosłowianie, Słowacy, Rumuni, Węgrzy, Łotysze i Finlandczycy. Ze Stanów Zjednoczonych przyjechał jeden delegat. Wśród referatów wygłosiło odczyty sześciu obcych uczonych: 2 Francuzów, 1 Czech, 1 Rumun, 1 Węgier i 1 Ukrainiec. Referaty te dotyczyły wpływów kultury polskiej na kraje ościenne.

Nowy minister spraw wewnętrznych. Dotychczasowy minister spraw wewnętrznych, p. Henryk Józewski podał się do dymisji. Pan Prezydent dymisję tę przyjął i ministrem spraw wewnętrznych zamianował gen. Felicjana Sławoj Składkowskiego.

O zwołanie Sesji senatu. 38 senatorów, reprezentujących stronnictwa opozycji w Senacie, złożyło w kancelarji Pana Prezydenta Rzeczypospolitej pismo tej treści: „Zarządzeniem Prezydenta Rzpltej z dnia 21. maja br. zwołana została sesja Sejmu bez równoczesnego zwołania sesji Senatu, co jest sprzeczne z duchem Konsytucji oraz dotychczasową praktyką prawno-konstytucyjną. Zwracamy się przeto do Pana Prezydenta z żądaniem zwołania zgodnie z art. 25 i 37 ustawy konstytucyjnej sesji nadzwyczajnej Senatu. Warszawa, 4 czerwca 1930“. Nastepują podpisy senatorów. Należy zauważyć, że dla zwołania sesji Senatu wystarczają podpisy 37 senatorów.

Unieważnienie mandatu. Sąd Najwyższy unieważnił mandat poselski inż. Zdzisława Wierzbiańskiego, członka stronnictwa chłopskiego. Protesty przeciw przyznaniu tego mantatu inż. Wierzbiańskiemu powoływały się na to, iż na liście państwowej Nr 10 stronnictwa chłopskiego figurował Jan Wierzbiański, a państwowa komisja wyborcza przyznała mandat Zdzisławowi Wierzbiańskiemu. Następnym z koleji kandydatem listy państwowej Nr 10 jest p. Tadeusz Różański, dyrektor biura urządzeń rolnych w Warszawie, który wobec tego zostaje posłem.

Śmierć w płomieniach. W Kurowie, w powiecie npwosądeckim, w czasie pożaru w zabudowaniach Józefa Głoda spalił się na strychu jego dwunastoletni syn.

Prawda o zatruciu w bursie w Mielcu. — W związku z notatką p. t. „Zatrucie 42 uczniów“ w Nr 20 „Roli“ z 18 maja b. r. otrzymujemy od ks. Dra Wawrzyńca Dudziaka z Mielca następujące sprostowanie: Nieprawdą jest, jakoby w czasie rewizji dokonanej w piwnicy i spiżarni bursy w Mielcu znaleziono 3 kg wytopionego tłuszczu wieprzowego w zupełnym rozkładzie, natomiast prawdą jest, że nieznaczna ilość tłuszczu zakwestjonowana jednego dnia przez lekarza powiatowego została uznana następnego dnia za dobrą. Podobnie i ogórki w beczce, które lekarz powiatowy miał skwalifikować jako nie do użycia, uznali zaraz w jego obecności weterynarz powiatowy i komisarz miasta po skosztowaniu za zupełnie dobre. Znaleziony przy rewizji w dniu 1 maja kawałek mięsa i trochę okrawków z łojem nie były wcale gnijące ani pokryte zieloną powłoką, lecz pochodziły z mięsa kupionego poprzedniego dnia w jatce. Złożono je w spiżarni, bo nie nadawały się do kotletów, które podano na obiad 30 kwietnia z mięsa kupionego tego samego dnia rano. Faktem jest, że Zarząd bursy nigdy mięsa nie magazynuje, lecz bierze z jatki żydowskiej — gdyż katolickiej w Mielcu niema — tyle, ile potrzeba na każdy dzień do użytku, o czem świadczy zresztą książeczka, na którą mięso się bierze. Wszystko przemawia za tem, że winy owego zatrucia szukać trzeba nie w bursie, w której mimo przeszło 20 letniego istnienia taki wypadek nigdy przedtem się nie zdarzył, tylko w niechlujstwie panującem w niektórych jatkach i osobliwych praktykach mieleckich rzeźników. Głośnem jest teraz, że rzeźnicy tutejsi kupowali nieraz pokryjomu mięso z bydląt dorżniętych czy padłych, dzielili się niem, sprzedawali je, a nawet odstępowali masarzom do kiełbas. I w tym czasie, kiedy ów wypadek w bursie zaszedł, było w Mielcu takie mięso wieprzowe z Padwi i Goleszowa i z krów mieleckich. Faktem jest dalej, że zatrucie takie zdarzyło się nietylko w bursie, ale i u innych osób w Mielcu, np. w domu Romana Gwoździowskiego, Wład. Surowca w Borku ad Mielec, nadto w Woli Mieleckiej, Czerminie i Borowej koło Mielca, gdzie zachorowało 27 osób, z czego dwie zmarły. Wobec tego cały powiat mielecki woła do władz o baczniejszą kontrolę sanitarną nad rzeźnikami i masarzami, gdyż z tej strony idzie ku nam widmo zatrucia!

(Sprostowanie powyższe zamieszczamy tem chętniej, że pochodzi od osoby wiarygodnej i znającej najlepiej

ów smutny wapadek. Wiadomość w Nrze 20 „Roli“ podaliśmy za gazetami codziennemi, które ją wszystkie zamieściły. *Przyp. Redakcji).*

Kradzież z włamaniem. W ubiegłym tygodniu włamali się nieznani sprawcy w nocy do domu braci Józefa i Wojciecha Klisiewiczów w Święcanach, pow. Jasło, i ograbiwszy pogrążonych w śnie mieszkańców domu z odzieży, butów, bielizny, 4 poduszek i 1 pierzyny, ulotnili się z łupem niepostrzeżenie. Dochodzenia policji dotychczas bez wyniku.

Katastrofa samochodowa. Autobus osobowy kursujący na linji Zdynia - Gorlice - Jasło - Tarnów wskutek szybkiej jazdy przy wymijaniu chłopskiej furmanki na gościńcu w Trzcinicy koło Jasła, wpadł w ubiegły piątek nieszczęśliwym trafem do przydrożnego rowu i wywrócił się, skutkiem czego 4 osoby w nim jadące zostały ciężko uszkodzone i odwieziono je do szpitala w Jaśle, kilka zaś osób doznało lżejszych obrażeń. O rozmiarach katastrofy świadczą ślady krwi na ścianach uszkodzonego autobusu.

Nieszczęśliwy wypadek. W sobotę 31 maja b.r. po południu wybrał się furmanką po drzewo do lasu 76 letni gospodarz Jan Sołtys z Czermnej, pow. Jasło. Wracając do domu z naładowaną drzewem i gałęziami furą, usadowił się na niej. Naraz w jednem miejscu, gdy koła wozu weszły do przekopu, konie gwałtownie szarpnęły i Sołtys runął z fury na ziemię, ponosząc śmierć na miejscu. Zmarły cieszył się naogół poważaniem dla swego rozumu, wzorowego prowadzenia się i niezmordowanej pracy. Pogrzeb przy licznym udziale tutejszych i z obcych wiosek mieszkańców odbył się w poniedziałek.

Kara śmierci na zbrodniarkę. W Przemyślu zapadł wyrok, który powszechną wywołał sensację. Skazana została na karę śmierci przez powieszenie kobieta, za podmówienie do zamordowania swego męża. Skazaną jest 22 letnia Marja Buczkowska, która, wyszedłszy zamąż w lipcu 1929 r., od pierwszej chwili dążyła do usunięcia swego męża, Piotra Buczkowskiego, w celu zagarnięcia po nim majątku. Do wykonania swego zbrodniczego planu wynajęła ona Jana Syndykę, który odbywał służbę wojskową w Jarosławiu, w tajemniczając w sprawę także swego brata, 16 letniego Michała Bałabasza. W umówionem miejscu Syndyka napadł idącego z Bałabaszem Buczkowskiego, zadał mu kilkanaście ran bagnetem w głowę, a następnie wraz z Bałabaszem udusił. Zwłoki obaj wrzucili do wezbranego Sanu, gdzie je następnego dnia znaleziono. Trybunał po przeprowadzonej rozprawie skazał Buczkowską na powieszeni, a jej brata na 10 lat ciężkiego więzienia. Syndyka będzie odpowiadał za swój czyn przed sądem wojskowym.

Tragiczna śmierć włamywaczy. Dwaj znani na terenie powiatu Rawa Ruska włamywacze Dąbek i Mastykarz, ścigani ostatnio przez policję za liczne kradzieże, ukryli się w nocy w starym szybie kopalni węgla w Ni» ach (pow. Rawa Ruska), gdzie obaj ponieśli śmierć z powodu zatrucia dwutlenkiem węgla. Ponieważ zachodziło przypuszczenie, iż włamywacze ukryli tam skradzione rzeczy większej wartości, zwrócono się do straży pożarnej we Lwowie z prośbą o wydelegowanie strażaków do przeszukania szybów. Strażacy w liczbie czterech, zaopatrzeni w aparaty przeciwgazowe, nie zdołali ustalić nic konkretnego, gdyż nie mogli pozostawać w szybie dłużej niż 2 i pół minuty. Komenda policji w Rawie Ruskiej, nie chcąc dopuścić do dalszych nieszczęśliwych wypadków, poleciła właścicielowi gruntu, na którym znajduje się szyb, zasypać go natychmiast ziemią.

Wstrząsająca tragedja. Wstrząsająca tragedja rozegrała się w Jabłonnej koło Warszawy. W małej izdebce mieszkała 60 letnia Hania Steir, której jedyny syn podobno zginął podczas wojny z bolszewikami. Matka, będąc przekonaną, że syn jej zginął, ze zgryzoty ciężko zachorowała. W rzeczywistości syn jej dostał się do niewoli bolszewickiej i z dotychczas nie stwierdzonej przyczyny został wysłany na wyspy sołowieckie. Dziesięć lat wałęsał się nieszczęśliwy jeniec po wyspach, aż udało mu się stamtąd zbiec i wrócić do Polski Onegdaj niespodziewanie zapukał do drzwi swej matki. Chora matka, widząc swego syna, którego uważała za zmarłego, z przerażenia dostała ataku sercowego i na miejscu wyzionęła ducha.

15.000 za oko. Przed sądem apelacyjnym warszawskim toczył się proces o odszkodowanie za oko, które straciła służąca Grobakówna w czasie służby u majora Hochstima. 14-letni syn oficera, bawiąc się flobertem, strzelił tak nieszczęśliwie, że trafił służącą w oko. Na koszt majora dokonano operacji i wstawiono dziewczynie sztuczne oko. Dziewczyna zażądała od majora odszkodowania, a gdy on odmówił, udała się na drogę sądową. Żądała 15.000 złotych, a to 7.500 z powodu utraty 33 proc. zdolności do pracy, a 7.500 z powodu strat moralnych. W uzasadnieniu skargi dowodziła, że ponieważ ma szklane oko, straciła widoki na jakiekolwiek małżeństwo. Sąd okręgowy przysądził na rzecz Grobakównej żądane odszkodowanie, a sąd apelacyjny wyrok ten zatwierdził.

Skrucha mordercy. Przed sądem karnym w Bydgoszczy toczył się proces przeciwko siedmiokrotnemu mordercy Czesławowi Koniecznemu. Przed wydaniem wyroku oskarżony oświadczył: „Nie przyjmę żadnej innej kary, jak tylko karę śmierci, bo splamiłem swą cześć, swoją wieś rodzinną, rodzinę i ojczyznę“. Sąd skazał mordercę na siedmiokrotną karę śmierci przez powieszenie

Masowe zatrucie żołnierzy. W piątym pułku lotniczym, stacjonowanym w Lidzie, zatruło się 68 żołnierzy. Lekarz pułkowy stwierdził zatrucie przewodów pokarmowych. Dochodzenia prowadzi żandarmerja wojskowa. Poddano analizie żywność dostarczaną dla wojska i wodę w pobliżu koszar. Wszystkich 68 żołnierzy umieszczono w szpitalu. Stan niektórych jest bardzo ciężki.

Zjadł własne dziecko. Dzienniki moskiewskie donoszą o strasznym wypadku ludożerstwa w Rosji sowieckiej. Niejaki Tarkow, włościanin wsi Głubokoje Zajmiszcze w gub. samarskiej, po odebraniu mu przez władze ziemi ornej i inwentarza powędrował wraz z rodziną, składającą się z żony i dwojga dzieci w kierunku Syberji. W drodze zabrakło mu żywności. Zrujnowany przez władzę komunistyczną chłop, po dwudniowej wędrówce o głodzie, zabił swe trzyletnie dziecko i jego ciałem żywił siebie i resztę członków rodziny w ciągu kilku dni. Straszny ten czyn został wykryty przypadkowo przez przejeżdżający oddziałek jazdy sowieckiej, patrolujący okręgi nadwołżańskie, skolektywizowane z całą bezwzględnością przez obecny rząd sowiecki.

Wampir z Düsseldorfu. W poprzednim numerze „Roli“ donieśliśmy o aresztowaniu strasznego mordercy w Düsseldorfie. Aresztowanie tego wampira, nazwiskiem Kuerten, nie obeszło się bez momentów dramatycznych. Poniżej podajemy szczegóły, w jaki sposób policja wpadła na trop zbrodniarza: Dnia 15 maja pewna panna zapoznała się z nieznanym mężczyzną. Odurzona poprostu jego gładką i piękną wymową, zgodziła się mu towarzyszyć aż na strych, gdzie ów nieznany osobnik usiłował wykorzystać jej zaufanie. Panna po energicznej

obronie zdołała zbiec. Napadnięta milczała o swej przygodzie i opisała ją tylko w liście do przyjaciółki. List jednak nie doszedł do rąk adresatki a po długich wędrówkach dostał się na biurko policji. Dziewczyna, odnaleziona przez policję, potwierdziła swe wynurzenia i w ten sposób policja dowiedziała się nazwisko napastnika. Peter Kuerten zamieszkiwał od kilku lat na poddaszu jednego z domów i był żonaty. Z żoną żył w ciągłej niezgodzie i zmuszał ją od ostatnich kilku miesięcy do utrzymania domu jej zarobkiem. Policja, która czyhała na Kuertena już od czwartku, wtargnęła na poddasze w piątek wieczorem, lecz Kuerten i jego żona byli nieobecni. Kuerten przeczuwał, że jest śledzonym, i wymykał się z rąk policji przez dwa dni. Dopiero w sobotę wieczorem Kuerten, udając się na schadzkę z żoną, został otoczony przez policję i aresztowany w obecności prefekta policji i prokuratora generalnego. Na komisarjacie policji Kuerten przyznał się do wszystkich zabójstw z wyjątkiem morderstwa popełnionego na osobie Emmy Gross, które policja uważała również, że zostało popełnione przez innego zbrodniarza. Sensacyjna wieść o aresztowaniu „wampira" rozeszła się lotem błyskawicy po Düsseldorfie i stanowiła najważniejszy temat rozmów mieszkańców. Policja przedsięwzięła środki ostrożności, by morderca nie popełnił samobójstwa. Pierwszą zbrodnię popełnił Kuerten 14 czerwca 1928 r. Od tego czasu do listopada 1929 r. nie było miesiąca, w którym nie zanotowanoby jednego lub kilku zabójstw na osobach dziewcząt i kobiet. Wszystkie ofiary potwora były zawsze straszliwie zmasakrowane nożem. Wampir ma na sumieniu 20 zbrodni, z czego tylko sześć ofiar przeżyło swe rany. W roku 1930 znowu rozpczął „wampir" swą ohydną działalność. Policja w Düsseldorfie otrzymała wówczas posiłki z Berlina. Zjechało więc wielu zdolnych detektywów. Dokonano licznych aresztowań wśród elementów zbrodniczych, lecz za każdym razem aresztowanych wypuszczono na wolność. Narazie niewiadomo, jaką rolę odegrali bandyci berlińscy, którzy, chcąc mieć spokój ze strony policji, wyjechali do Düsseldorfu przed kilkunastu dniami, by pomóc w aresztowaniu „wampira",

Ptasi cmentarz. W Bielitz, w Brandenburgji, w państwie niemieckiem, w pobliżu jednego z tamtejszych zakładów dla zamożnych chorych, powstał cmentarz ptasi, założony przez miłośników ptaków.



Na cmentarzu tym właściciele i właścicielki kanarków, papug, szpaków i innych ptaszków pokojowych, grzebią po zgonie swych ulubieńców. Cmentarz ów zajmuje już znaczny kawałek gruntu tuż na skraju pięknego lasku. Jak widzimy na rycinie, cmentarz ptasi zasiany jest mnóstwem małych mogiłek, ubranych w kwiaty i wianuszki.

Groźny nieprzyjaciel ryb. W Niemczech stwierdzono w rzekach Aller, Wezera i Łabie istnienie specjalnego kraba, pożerającego ryby, co w wysokim stopniu zagraża rybostanowi rzek. Dziwnem jest to, że krab ten spotykany jest tylko w Azji, w niektórych rzekach chińskich. Jakim zaś sposobem dostał się on do Europy, pozostaje tajemnicą. Może on chodzić również po lądzie, ale musiałby wobec tego naprzód zawitać do rzek, spotykanych w tak długiej wędrówce. Krab jest nadzwyczaj żarłoczny. Pożera ryby i rośliny. Na żer wybiera się dopiero w nocy i jest nieuchwytny. Wszelkie dotychczasowe środki do wyniszczenia szkodnika pozostały bezskuteczne.

Pływający dom gry. W połowie czerwca wyruszy na morze pierwszy pływający dom gry, wielki parowiec, w którym urządzono 1.200 kabin na dwa tysiące osób. Większość oficerów jego pochodzi z dawnej rosyjskiej carskiej marynarki wojennej. Sale gry urządzone są na wzór kasyna w Monte Carlo. Dom gry będzie stale kursował wzdłuż wybrzeży: francuskiego, holenderskiego, belgijskiego, niemieckiego, a ewentualnie polskiego. Okręt będzie płynął w odległości 3 mil od brzegu, a gości dowozić będą do sal kasyna specjalne małe statki. Rząd francuski będzie pobierał od kasyna 15 procent zysku, rząd belgijski 10 proc. W czasie przejazdu koło wybrzeży holenderskich kasyno będzie zamknięte, gdyż w Holandji uprawianie gry hazardowej jest zakazane. Pływające Monte Carlo posiadać będzie pierwszorzędne sale restauracyjne, kabarety i teatry. Statekdom gry spodziewany jest w okolicach Gdyni w pierwszych dniach lipca.

Ląd, który zanika. Dzienniki niemieckie donoszą, że wyspa Helgoland, niegdyś dosyć uczęszczane miejsce kuracyjne, a która następnie odgrywała rolę niemieckiej Malty na morzu Północnem, stopniowo zanika w jego falach. Obecnie, mimo istnienia ochronnego muru, nastąpiło oberwanie się wielkiego złomu ziemi, co grozi dalszą katastrofą tak, że należy się liczyć z powolnem zapadnięciem się całej wyspy w ciągu pewnego okresu czasu.

Ciekawa ankieta szkolna. Dyrektor pewnej szkoły genewskiej dał uczenicom klasy najwyższej następujące zadanie w celach eksperymentalnych: „Czyś zadowolona z tego, że jesteś dziewczyną?" Klasa liczyła 34 uczenic. Z tej liczby ogólnej 22 uczenic dało odpowiedź zaprzeczającą, a tylko 12 potwierdzającą. Pierwsze oświadczyły kategorycznie w swem wypracowaniu, że bynajmniej nie są zadowolone ze swego losu i wolałyby stokroć urodzić się chłopcami, do których przecież należy cały świat. Jedna z pozostałych dziewcząt oświadczyła, że dlatego zadowolona jest ze swego losu, że może chłopcom pokazać, do czego dziewczęta są zdolne. Reszta uczenic uważa los dziewczyny za korzystny z następujących powodów: 1) jest rzeczą bardzo przyjemną posiadać dzieci, 2) jest bardzo miłem zajęciem gospodarstwo domowe, 3) kobieta nie potrzebuje tyle rachować, co nieszczęsny mężczyzna. W tym trzecim punkcie tkwi sporo prawdy.

Rekord bezsenności. Pisma amerykańskie donoszą o nowym rekordzie, który tym razem ustanowił profesor uniwersytetu chicagowskiego, Dr Andrzej Fisher. Uczony ten, chcąc przekonać się, jak długo człowiek wytrzymać może bez snu, prosił specjalnie wybraną komisję lekarzy i profesorów, by poddała go kontroli. Dr Fisher wstrzymywał się od snu w ciągu 135 godzin, zatem 5 dni i 4 i pół nocy. Przez cały ten czas zachowywał on odpowiednią djetę, pracował i czytał bardzo mało i — co wydaje się najdziwniejszem — cały ten czas spędził niemal wyłącznie w łóżku. Dr Fisher dokonał już poprzednio podobnej próby, wówczas jednak wytrzymał tylko 115 godzin bez snu.

RZECZY CIEKAWE.

Jak pracują kobiety w Holandji.

Ilość kobiet, pracujących zarobkowo, powiększa się w Holandji z dnia na dzień i sięga cyfry 635.000, czyli więcej niż jedna piąta wszystkich kobiet w tym kraju.

Z tej liczby jedna trzecia pracuje zarobkowo, jako pomocnice w gospodarstwie domowem, jedna czwarta w przemyśle, 14 proc. w rolnictwie, 10 proc. w handlu, 6.5 proc. w biurach i 5.7 proc. jako nauczycielki.

Charakterystyczne jest, że ilość kobiet pracujących w gospodarstwie domowem spadła od roku 1920 z 44 proc. na 33 proc. i zmniejsza się w dalszym ciągu. Z kobiet pracujących zarobkowo 108.000 jest zamężnych, wdów lub rozwódek, przyczem na rozwódki przypada prawie połowa całej tej grupy. 208.000 jest starszych ponad 25 lat, a tylko 107.000 młodszych, poniżej lat 18.

Praca kobiet wynagradzana jest naogół bardzo źle. W biurach w Amsterdamie kobiety zarabiają zaledwie kilkaset guldenów rocznie. Przeciętny dochód biuralistki w Amsterdamie nie przekracza 750 guldenów rocznie. Bardzo niskie jest również wynagrodzenie w przemyśle gumowym, szewskim i wytwórniach bielizny.

Świat jest wszędzie do siebie podobny i sprawiedliwość jest wszędzie ludzka, to znaczy... niedoskonała.

Jak głęboko zanurzają się wieloryby?

W angielskiem czasopiśmie „Nature" opublikowano nowe spostrzeżenia odnoszące się do wielorybów, a szczególniej, do ich zdolności przebywania w wodzie.

Jak wiadomo, zwierzęta te są ssakami i posiadają płuca, to też co pewien czas muszą się wynurzać, aby wydalić z płuc zużyte powietrze a zaczerpnąć świeżego.

Nie wiadomo, jak głęboko mogą wieloryby pogrążać się w toniach oceanów, w każdym razie, regulatorem jest tu wytrzymałość klatki piersiowej tych zwierząt na ciśnienie hydrostatyczne. Racovitza, zoolog rumuński, który badał życie oceanów południowych, ocenia głębokość, do której docierają wieloryby, na 100 m. i przypuszcza, że wieloryb może przebywać w wodzie godzinę.

Obecnie „Nature" podaje, że wieloryb zraniony harpunem spuścił się do głębokości 1.700 m., gdzie po godzinie zginął z rany, innym razem osiągnął 1.300 i 1.500 m. Pozostaje kwestja nierozstrzygnięta, jak wytłumaczyć wytrzymałość na ciśnienie w tych głębokościach z punktu widzenia fizjologji.

Historja piwa.

Wyrób piwa w krajach bogatych w płody rolne spotykamy już w najgłębszej starożytności. Pierwszemi krajami, produkującemi piwo, były Egipt i Galia, gdzie je nazywano „winem jęczmiennem". Fiodor Sykulański pisze, że piwo egipskie prawie-że nie różniło się w smaku i mocy od wina.

Najsławniejsze z piwa było miasto Peluzja, położone w delcie Nilu. Mówi o niem Eschiles.

Egipcjanie nazywali piwo „żythos" albo „curmi". Było ono napojem większości mieszkańców Egiptu. Nazwy powyższe oznaczały dwa rodzaje piwa, różne kolorem, smakiem i sposobem przygotowania.

Z Egiptu w w. V-tym przed Chr. piwo przeszło do Grecji, o czem pisze Teofrast w r. 310 i Arystoteles.

Tracyjczycy wyrabiali dawne „żythos" z dodatkiem owoców i nazywali je „bruton".

Z Grecji przeniesiono później wyrób piwa do Włoch i Niemiec.

Tacyt podaje, że dawni Germanowie wyrabiali bardzo mocne piwo i pili go w wielkiej obfitości, szczególnie w dnie świąteczne.

Plinjusz i Strabon utrzymują, że napój ten był w użyciu u wszystkich narodów północnych i nazywał się „serwisia", t. j. wino Cerery, bogini zbiorów, a raczej „wino zbożowe", podobnie, jak w wiekach średnich, nazywano je od tego samego pierwiastka... serwogia".

Nazwa piwo, bier, birra, biere, pochodzi od staroruskiego „bere", co oznacza krescencję, a właściwie jęczmień. Dzisiaj jeszcze jęczmień szkocki nazywa się „bear".

W języku hebrajskim jest również wyraz „beri" i „peri", co znaczy ziarno.

Zwyrodniałe króliki.

Wroku 1919 we francuskiej miejscowości Sarthe między szaremi królikami typu normandzkiego pojawił się w jednem pokoleniu królik, prawie że pozbawiony sierści, podczas gdy jego rodzeństwo posiadało uwłosienie normalne.

W następnem pokoleniu króliczka dała znów jednego osobnika anormalnego. Te anormalne króliki (samiec i samiczka) były jako parka dalej hodowane i dały początek pokoleniu o sierści zmarniałej.

Zwierzęta te posiadały bardzo słabą konstytucję — a śmiertelność ich była znaczna, to też w celu wzmocnienia skrzyżowano je z królikami normalnemi i w ten sposób osiągnięto rasę nową, zwaną Castorrex.

Rasa ta miała nienormalną sierść, utworzoną tylko z puchu, pozbawioną dłuższego włosia.

Ta anormalność sierści była określona jako wyraz mutacji i jako nowa cecha dziedziczyła się normalnie.

Uderzającem było, że i ta nowa rasa nie była odporna — śmiertelność wśród młodych szerzyła się ciągle, a oprócz tego osobniki poszczególne ulegały często rozmaitym zwyrodnieniom skóry i oczu.

Tajemnice pustkowia Tybetu.

Olbrzymie płaskowzgórze Tybetu (Azja) wraz z łańcuchem niebosiężnych gór Himalajów należy dotychczas do najbardziej tajemniczych, i dzięki niedostępności, najmniej przez uczonych zbadanych krajów. Jednym z nielicznych Europejczyków, znających dobrze Tybet dzięki długim wędrówkom po tym dzikim i niedostępnym kraju, jest znany podróżnik angielski Maks Torrel, który ogłosił ostatnio bardzo ciekawe informacje o olbrzymich pokładach złota, jakie udało mu się wykryć w Himalajach. Oto, co opowiada nieustraszony badacz:

„W czasie długiej wędrówki z jednego klasztoru buddyjskiego do drugiego, zbłądziłem w labiryncie podziemnych korytarzy, wyżłobionych przed tysiącami lat przez rzekę, która następnie wyschła. Stanąłem wreszcie w wielkiem zagłębieniu, skąd korytarz wznosił się prawie prostopadle, co świadczyło o tem, że musiał tu być kiedyś olbrzymi wodospad. Przy wchodzeniu na prawie prostopadłą ścianę, pośliznąłem się i upadłem, zanurzając ręce w piasku,

który mi się wydał niezwykle ciężkim. Zapaliłem wówczas kawałek łuczywa. Przy nikłem świetle piasek rozbłysnął czarodziejsko ponętną barwą czystego złota. Byłem oszołomiony. U mych stóp leżały nieprzebrane skarby. Rzeka, która niegdyś tędy płynęła, naniosła tu warstwy czystego złota, niespotykanej grubości. Poszedłem dalej wzdłuż łożyska rzeki.

W każdem zagłębianiu napotykałem podobne złoża złotego piasku. Po wypaleniu się łuczywa pochłonęła mnie zupełna ciemność. Przez dwa dni jeszcze wlokłem się nadludzkim wysiłkiem po skalistem dnie dawnego łożyska rzeki, aż zupełnie wyczerpany znalazłem się w głębokim, lecz już otwartym wąwozie, gdzie pokrzepiłem się dziko rosnącemi jagodami. Okolica była zupełnie niezamieszkana. Dopiero po tygodniu błąkania się po bezdrożach Himalajów natrafiłem na klasztor buddyjski. I oto widok zamieszkałego osiedla ludzkiego był mi niezrównanie droższy niż nieprzebrane złoża złotego piasku. Aby to zrozumieć, trzeba odbyć taką wędrówkę jak ja i tylekroć w czasie jej trwania żegnać się z życiem. Bo życie jest droższe od wszystkich skarbów świata".

Podobno znalazła się grupa kapitalistów, która pragnie sfinansować eksploatację złota w Himalajach, może więc już wkrótce te dzikie i niedostępne uroczyska zapełnią napływający z całego świata poszukiwacze złota i przygód.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Jan Malinowski** w Ch.: Najpowszechniej używane są trzy podręczniki, a mianowicie: „12 miesięcy w pasiece" przez Stefana Röhrenschefa, „Najnowsza gospodarka w pasiece" przez Józefa Lorenza i „Hodowla pszczół" przez Leonarda Webera. O hodowli pszczół traktują wszystkie trzy podręczniki obszernie, natomiast o budowie uli najobszerniej mówi podręcznik L. Webera. Jeżeli chciałby Pan hodować pszczoły w ulach amerykańskich, to najlepiej nabyć sobie podręcznik Webera, jeżeli zaś w słowiańskich, to który z dwóch pozostałych. Dotychczas u nas najbardziej były rozpowszechnione ule słowiańskie i te ja uważam za najpraktyczniejsze, natomiast w ostatnich czasach zawodowi pasiecznicy zaprowadzają ule amerykańskie (otwierane z góry). Wady i zalety tak jednych, jak i drugich są opisane w podręcznikach. Podręczniki te powinny być w każdej księgarni. Podręcznik Webera może przesłać Spółdzielnia „Pszczoła", Lwów, ul. Kopernika 20. Cena 8 zł. Inne dwa, księgarnia J. Pisza w Tarnowie. Ceny nie znamy. W drugiej sprawie wyczerpująco odpowiedzieć nie możemy; najlepiej byłoby się poinformować u któregoś z duchownych wspomnianej religji. — **Jan Bernyś** w S.: Artykuł zamieścimy. Obrazka z nadesłanej ilustracji zrobić się nie da, gdyż za słaba odbitka. — **Jacek Orlik** w L.: Nadesłany nam wierszyk o Zielonych Świątkach bardzo dobry, ale przyszedł już zapóźno, bo wtedy, gdy numer o Zielonych Świątkach był już na maszynie drukarskiej. Zachowamy go na przyszłość. — **Piotr Wenc** w S.: Kroniczki w numerze; artykuł pójdzie w najbliższej przyszłości. — **Jan Pelczar** w W. Sz.: Nadesłany artykuł zamieścimy prawdopodobnie w następnym numerze, jako wstępny. — **Franciszek Kawczak** w O.: Artykuł w numerze. O dalszą współpracę prosimy. — **J. Pankowski** w K., **Rojkowski** w K. i **Józef Staniek** w M. K.: Zagadki zamieścimy w miarę miejsca. — **Jan Wróbel** w N.: Za tak cenne dla nas słowa uznania serdeczne dzięki. Mamy przygotowany wielki zapas rzeczy bardzo ciekawych, więc warto nie żałować tych kilku złotych i „Rolę" zamówić sobie na cały rok. Numera od początku bieżącego roku posiadamy w zapasie. — **„Melka"** w S.: Artykulik zamieścimy, w wierszach są jeszcze pewne usterki, ale po poprawieniu ich mogą być drukowane. — **P. K.** w B.: Wierszyk dobry, ale dziś już nieaktualny, zwłaszcza że na ten temat drukowaliśmy już wiersz Roberta Rydza.



Zagadki do nagrody.

1. Zadanie krzyżowe.

(Ułożył Stanisław Łętowski z C.).

		a	a	a		
		a	d	e		
e	i	i	m	m	m	ń
ń	p	p	p	p	o	o
o	o	o	o	r	r	r
		r	t	t		
		t	u	u		

W kratkach danego krzyża poprzestawiać litery w ten sposób ażeby otrzymać trzy wyrazy jednakowo czytane w kierunku pionowym i poziomym.

2. Szarady.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.)

I.

Całem jest do dziś dnia nasz Maciuś ko-
[chany,
Pierwsze drugie to napój do nas spiowa-
[d any.
Pisała do Maciusia druga trzecia pierwsza,
Aby się z nią ożenił a będzie szczęśliwsza.
Chce się z nią żenić drugi, pół trzeci no i
[pół pierwszego,
Lecz on przy Maciusiu nie warta grosza
[złamanego.
Pół trzecie, drugie wspak i pół pierwsze
[z wulkanu się dobywa,
Na rękę, że go boli, pół trzecia druga Ma-
[ciuś się ciągle gniewa.

II.

Całość rośnie w polu na nawóz lub pasze,
Pierwsze drugie imię żeńskie żydowskie
[nie nasze.
W pierwszej czwartej gra muzyka, młodzież
[idzie w tany,
Tylko nie chce z nikim tańczyć nasz Ma-
[ciuś kochany.
Było zimno. Trzecią drugą Maciuś nakrył
[konie,
Bo to dobra druga pierwsza, trzeba więc
[dbać o nie.

3. Układanki.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).

Nuta + spółgłoska = ?

Miasto w Polsce + samogłoska = ?

Zwierzątko wodne wspak + miasto w Polsce samogłoska = ?

Góry w Europie + zarost u żydów = ?

Rzeka + dwie spółgłoski + zaimek + spółgłoska złożona = ?

Żywność + miasto w Rosji + samogł = ?

Ptak domowy + spółgłoska = ?

Spółgłoska + są w kartach + zwierzę + przyrząd sportowy = ?

4. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

■ ☆ ☆ ☆ Sznur.
■ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ Zbiornik wody.
■ ☆ ☆ ☆ Zajmuje król.
■ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ Rzeka podolska.
■ ☆ ☆ ☆ Szata liturgiczna
■ ☆ ☆ ☆ Pokrycie domu.

Litery początkowe czytane z góry na dół dadzą nazwę miesiąca.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 20 b. m. Znaczenie zagadek z Nru 22 „Roli": 1. Logogryf: Wieliczka. 2. Szarady: I. Rabaty. II. Kowalskina. III. Karykatury 3. Kryptogram: Mówisz, żeś błazna widział, czegoś zdawna żądał: Pono u cyrulika, kiedyś się przeglądał!!! 4. Krzyż magiczny: Norbert, Ambroży, Kleofas.

Dobrego rozwiązania wszystkich zagadek w oznaczonym czasie nikt nie nadesłał.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

— Panie profesorze, dlaczego, jak dmuchnąć na świece, światło gaśnie, a dym się ukazuje?

— No, to nie dmuchaj ośle!



W salonie.

Gdzieżeś się poznała z Karolem? czy cię zaczepił na ulicy?...

— Co? na ulicy?... czyż sądzisz, że ja na ulicy zawieram znajomości?... zaczepił mnie w tramwaju.



Tymczasowo.

— Pogodziłaś się znowu z Tadeuszem?

— Tak, ale tylko tymczasowo. W przyszłym tygodniu odbędzie się nasz ślub!

Giełda płodów rolniczych

z dnia 27 maja b. r.

Pszenica	40·50—41 00	Słoma długa	5·50—6 00
Żyto	16·50—17·00	Ziemniaki stoł.	4·50—5·00
Owies	17·00—17·50	Koniczyna nasienn. czer.	200·00—230·00
Jęczmień	18·00—18·50		
Fasola biała	60·00—65·00	Mąka żytnia	33 50—34 00
Groch zwyk.	32·00—33·00	Mąka pszen.	71·00—72·00
Siano słodk.	8·00— 8 50	Otręby pszen.	13·00—14 50
Łubin żółty	00·00—00 00	Otręby żytnie	11·00—12·00
Koniczpastew.	10·00—12 00	Mąka czerw.	18·00—18·50

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 30 maja b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 0·84 do 1·45 zł.	Jałownik	od 0·79 do 1·46 zł.
Woły	od 1·10 do 1·50 zł.	Cielęta	od 1·20 do 1·92 zł.
Krowy	od 0·86 do 1·40 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	12·20 do 2·55 zł.	Nierogacizna bitej wagi	od 2·70 do 3.10

BLEDNICĘ

BRAK KRWI USUWA

Mra KRZYSZTOFORSKIEGO

WINO CHINOWO-ŻELAZISTE z Orłem

na maladze hiszpańskiej

reguluje słabości kobiece, dodaje siły, podnieca apetyt, **przyczynia krwi, położnicom zadziwiająco szybko przywraca siły,** a specjalnie polecane przez lekarzy w chorobach płucnych, po przebytych ciężkich chorobach, przy osłabieniu ogólnem, oberwaniu, braku ochoty do życia, nudnościach, zawrotach głowy, wyczerpaniu fizycznem i umysłowem. Do nabycia w aptekach i drogerjach, gdzie niema, zamawiać wprost z fabryki we własnym interesie, by ustrzec się przed podróbkami, — **żądać wyraźnie**

Mra KRZYSZTOFORSKIEGO

WINO CHINOWO-ŻELAZISTE z Orłem

Naśladownictwo energicznie odrzucić!

Ceny z opłaconą pocztą i opakowaniem są następujące:

2 fl. mniejsze zł. **6.—** 5 fl. mniejszych zł. **13.—**
1 fl. podwójny zł. **5.—** 5 fl. podwójnych zł. **22.—**

Reumatyzm

gościec, postrzał, ischias, łamania, nadwyrężenia, kłucia z powodu przeziębienia, ból głowy, zębów, katar, przeziębienia, bole żołądka, kurcze i t. p.

usuwa

Pain Expeller z orłdm

wyrobu Mra Krzysztoforskiego

Do nabycia w aptekach i drogerjach, gdzie niema zamawiać wprost z fabryki — we własnym interesie, by ustrzedz się przed **bezwartościowemi podróbkami** żądać wyraźnie Pain Expeller z Orłem wyrobu Mra Krzysztoforskiego — naśladownictwa energicznie odrzucać.

Ceny z opłaconą pocztą i pakowaniem są następujące: 2 flaszki zł. 4·50, 5 fl. zł. 9·50, 10 fl. zł 17·00, 20 fl. zł. 31·00.

Fabryka chemiczna Mr. Krzysztoforski Tarnów, ul. Towarowa 8.

Nie marnować owocu!

Wspaniałe

Wina domowe

sporządzamy z każdego owocu i jagody (nawet zboża) n. p.

Tokaj, Malagę, reńskie, stołowe i t. p.

Dokładny podręcznik przesyłam za 80 gr. w znaczkach pocztowych.

Cenniczek i krótki opis wyrobu win zadarmo.

M. Pradel, Kraków, ul. św. Tomasza 22.

(Tamże rurki ferm., prasy, gąsiory i t. d.).

Powrozy
Liny transm.
Sznury
Szpagat
Pasy
Siatki
i t. p.

STANISŁAW WACŁAWSKI
Wytwórnia powroźnicza
w KRAKOWIE
Zwierzyniec, ul. LELEWELA 13.

Uwaga na dokładny jedyny adres tylko ul. Lelewela 13.

telefonu niema z firmą „Popęd" tego samego nazwiska i skiepem niema nic wspólnego

Dostarcza:

Hamaki, siatki tennisowe. Sprzedaje konopie i kupuje lub zamienia na gotowe wyroby.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.

Na żądanie wysyła cenniki.

KONCESJONOWANE

Kursy kroju i szycia

J. ZABIELSKIEJ, KRAKÓW, ul. św. Krzyża L. 7.

rozpoczynają się 1-go i 15-go każdego miesiąca 2-miesięczne dla panien szyć umiejących, a dłużej trwające dla nieumiejących szyć. — Wpisy codziennie od 9 do 12 i od 4 do 7 wiecz. Dla przyjezdnych mieszkanie.

ZEGARKI

z amerykańskiego nowego złota



»Amer. d'OR« niczem się nie różni od prawdziwego złota 14 kar. tylko za zł. 8.75. Uwaga: Zegarki nasze nic nie mają wspólnego z zegarkami innych reklam. Wysyłamy pocztą za zaliczeniem elegancki zegarek. Chód dźwięczny na kamieniach, wyregulowany do minuty z gwarancją za dobry chód na 8 lat. 2 szt. 17 zł., 4 szt. 32.50, 6 szt. 47.50. Lepszego gatunku 11.50, 15, 18, 21, 25, 35 zł. Na rękę z paskiem niklowe 14, 17, 20, 25, 30, 35, 40, 50 i 57. — **Kryty Ankier z trzema kopertami amer. zł. 16.75,** 19, 22, 26, 30, 35, ręczne z paskiem lepszego gatunku 20, 25, 37, 45, 55, 65. Budziki stołowe 15, 17 i 20, lepszego gatunku 25, 30 i 40 zł. Łańcuszki z nowego złota po 2.15, 3, 3.75, 4.85 i 6 zł. Zegarki reklamowe kieszonkowe marki „Chronometr" niklowe po cenie 5.87, 2 szt. 11.60, 3 szt. 17.20, 5 szt. zł.28.50, 7 szt. 39.50, 10 szt. 55.85.

Za koszta przesyłki i opakowanie płaci kupujący.

FABRYCZNY SKŁAD GENEWSKICH ZEGARKÓW

JÓZEF JAKUBOWICZ, Warszawa, Sienna 27, Oddział 41.

Mnóstwo listów dziękczynnych.

Z powodu braku miejsca zamieszczamy niektóre.

Sz. P. Józef Jakubowicz

Niniejszem zamawiam zegarek z amer. złota. Jest to już t r z e c i zegarek. Z poprzednich jestem bardzo zadowolony. Teodor Bławat, kierownik szkoły Klonia.

Dobry zegarek kupisz tylko w znanej we wszystkich dzielnicach kraju firmie J. Jakubowicz, Warszawa 41.

Wyciąć! Zachować! Rekomendować!

Firma egzystuje od roku 1900. Nagrodzona wieloma złotemi medalami i krzyżami.

„Zemsta cygana"

sztuka w 3-ch aktach ze śpiewami i muzyką, znanego naszym Czytelnikom poety ludowego Roberta Rydza — opuściła prasę i jest do nabycia w księgarni nakładowej A. Cybulskiego w Poznaniu. Sztukę tę polecamy naszym zespołom amatorskim. Cena 6 zł. wraz z utworem muzyczn.

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola" przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.